

DROGA

Kolekcja
Emila Kornasia

NIO

MIESIĘCZNIK

D R O G A

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

GRUDZIEŃ 1936

ROK XV

Nr. 10

T R E Ś Ć

Henryk Brody: Prawo i administracja nowoczesna . . .	741
William Mac Dougall: Antropologia i historia	751
Stefan Rychłowski: Problem melioracji Polesia (II) . . .	766
Don Pedro Calderon de la Barca: Życie snem. Akt I. Przełożył Edward Boyé	779
Bolesław Gawecki: Współczesne zadania filozofii	801
SZTUKA. Zygmunt Waliszewski. Z wystaw warszawskich (K. Winkler) :	817
KSIAŻKI. Wstrząsający debiut (Stefan Napierski). — Bogdan Suchodolski: Irving Babbitt (J. Bleiberg). — Pamiętniki chłopów (A. H.)	820

C E N A N U M E R U ZŁ. 2.—

Kolekcja
Emila Kornasia

DROGA Nr. 10

HENRYK BROJDY



PRAWO I ADMINISTRACJA NOWOCZESNA

I

Administracja ogólna, jak to określił Władysław L. Jaworski, jest nie tylko stosowaniem prawa administracyjnego, lecz także działaniem twórczym i ma — szczególnie w Polsce — decydującą rolę w organizowaniu życia. Poza tym ma ona zadanie wychowawcze i doniosłą misję, zwłaszcza w niektórych dzielnicach, związania „szarego obywatela” z państwowością polską.

Rząd, kierując życiem państwowym, posługuje się administracją, która w dzisiejszych warunkach naszego bytowania ma wielki wpływ na kształtowanie się życia społecznego. Wobec tego, że zakres jej wciąż się rozszerza i ogarnia swoją działalnością coraz to inne dziedziny życia społecznego — administracja zmuszona jest rozwiązywać w mierze coraz to większej różne zawile zagadnienia życia zbiorowego. Możemy śmiało twierdzić za Jerzym Panejką, że administracja państwowa jest odbiciem życia społecznego i stanowi podstawę upadku i rozwoju społeczeństwa.

Przeobrażenia, których doznaje struktura państwa nowoczesnego, stawiają zatem nowe a zasadniczo zmienione zadania aparatowi administracyjnemu. Rola urzędnika publicznego w państwie nowoczesnym, elementy jego pracy, mierniki jego wartości, jego ogólny poziom kulturalny — z jednej, walka z duchem biurokracji, a w pierwszym rzędzie uspołecznienie urzędnika oraz zbliżenie do niego społeczeństwa — z drugiej strony, — to są zagadnienia, których dodatnie rozwiązanie stanowić będzie o prawidłowym i korzystnym dla ogółu rozwoju państwa nowoczesnego. Odrodzona Polska,

umacniając podwaliny swego mocarstwowego bytu, wymagać musi od stanu urzędniczego głębokiego zrozumienia i umiejętności realizowania jej zadań polityczno - społecznych. Wszystkie bowiem poczynania władz administracyjnych, poczynając od rozporządzeń wykonawczych do ustaw, a skończywszy na zarządzeniach lub czynnościach administracyjnych funkcjonariuszów na najniższym szczeblu hierarchii państwowej, powinny być odbiciem zamierzeń i dążeń państwa. Szary obywatel dopiero wtedy zrozumie dodatnie dla niego intencje rządu, jeżeli znajdą one swój wyraz w zarządzeniach i postępowaniu wszystkich funkcjonariuszów publicznych. Obywatel mierzy stosunek państwa do siebie ustosunkowaniem się do jego osoby odnośnego funkcjonariusza publicznego. Rola zatem, która przypada administracji w państwie nowoczesnym, będącym wyrazem dążeń społecznych i świadomej swego celu twórczej pracy obywateli — nakazuje urzędnikowi odpowiednie nastawienie w pogłębianiu i wykonywaniu norm, wynikających z zasad nowoczesnej formy państwowej.

Licząc się z rolą, którą konstytucja kwietniowa przypisuje jednostce w art 5 p. 1, który brzmi: „Twórczość jednostki jest dźwignią życia zbiorowego“ — polska racja stanu, w przeciwieństwie do zasad państwa faszystowskiego, hitlerowskiego czy sowieckiego, buduje pomyślność państwa na inicjatywie jednostki. Celem jej jest stworzenie warunków tego rodzaju, by jednostka mogła wykrzesać z siebie największy wysiłek zarówno dla siebie samej, jak i dla państwa. Zespolenie obywatela z państwem pragnie ona osiągnąć nie za pomocą środków mechanicznych czy przymusu, lecz przez stworzenie silnej więzi moralnej, łączącej jednostkę z państwem, „jako wspólnym dobrem wszystkich obywateli“. Wszyscy zaś są państwu winni nie tylko wierność i rzetelne wykonanie nakładanych przez państwo obowiązków (art. 6 konstytucji), ale wysiłek najwyższej miary dla jego utrzymania i wzmocnienia. Rzecz jasna, że tego rodzaju wysiłek może dać tylko człowiek wolny, świadomy związku, który go łączy z całością społeczną i jej formą polityczną, t. j. z państwem. Obywatel, którego łączy z państwem tylko przymus, żadnego wysiłku w tym kierunku ze siebie wydobyć nie będzie w stanie. Wychodząc z tego założenia, musimy podkreślić, jak wielkie ma znaczenie kwestia metod postępowania organów państwowych, by nie zaprzepaścić dążenia, wynikającego z naszej konstytucji, do stworzenia typu obywatela, odpowiadającego jej tezom moralnym.

II

Przedmiotem naszych rozważań będzie stosunek norm i prawideł prawnych do bieżących zagadnień życia i rozważanie na tej płaszczyźnie istoty administracji. Stosunek prawników do życia był bardzo często przedmiotem

ostrej krytyki, nigdy zaś nie można podawać w wątpliwość organicznego związku, jaki zachodzi między życiem a prawem, tym regulatorem stosunków między ludźmi we wszelkiego rodzaju sprawach życiowych. To też administracja, polegająca na bezpośrednim regulowaniu stosunków pomiędzy obywatelami, oraz spraw wynikających ze stosunku obywatela do państwa, musi to czynić na zasadzie norm prawnych, skrupulatnie przez jej organy wykonywanych, gdyż inaczej mielibyśmy zamiast uregulowanego ładu prawnego najzupełniejszą anarchię. Najlepsza bowiem i najgłębiej wnikająca w istotę życia administracja nie spełniałaby na dłuższą metę swoich zadań, gdyby się nie opierała na podstawach prawnych.

Władysław Leopold Jaworski, jeden z najznakomitszych znawców prawa administracyjnego, w swej *Nauce prawa administracyjnego* przyznaje, że dziedzina, w której obraca się urzędnik administracyjny, jest tak zmienna i skomplikowana, iż przepisy, które ma stosować do konkretnych przypadków, nie mogą być tak ściśle jak przepisy kodeksu cywilnego i innych ustaw prywatno - prawnych. Wynikałoby zatem z tego, że istotnie za daleko idąca ścisłość przepisów krępowałaby w zbytnej mierze wykonawców ze szkodą dla obywatela i pozostawałaby w kolizji z koniecznością słusznego i logiczniejszego załatwiania odnośnej sprawy. Wskutek tego powstaje — według Jaworskiego — pewna konieczność: ustawy administracyjne upoważniają urzędnika administracyjnego, by w sprawie, w której nie ma wyraźnego rozstrzygnięcia w ustawie, rozstrzygał sam według swego uznania. Jaworski cytuje przy tym znakomitego prawnika niemieckiego Ottona Mayera, jednego z największych uczonych z dziedziny prawa administracyjnego, który potwierdza powyżej cytowaną tezę prof. Jaworskiego z tym, że według Mayera takie zarządzenia urzędnik może wydawać tylko w granicach celów państwa i w granicach publicznego interesu. To, co nas w pierwszym rzędzie interesuje przy stawianiu naszej tezy, to jest rozważanie prof. Jaworskiego, czy prawo administracyjne jest wykonywaniem ustaw, czy też „czymś więcej lub czymś innym“. Dlatego też zgadzamy się najzupełniej z określeniem wybitnego znawcy zagadnień administracyjnych, Mieczysława Szerera: „Administrować, to znaczy oceniać potrzeby życia, następnie interpretować ustawy“.

Zastanówmy się teraz na chwilę, jakim w zasadzie powinien być prawnik. Wilhelm Wundt nazywa prawoznawstwo nauką najbardziej skomplikowaną ze wszystkich nauk. Prawnika bowiem musi znać logikę, musi mieć przygotowanie ekonomiczne, dostatecznie zgłębić zasady psychologii, etyki i filozofii, historii i innych nauk humanistycznych, a poza tym — nawet podstawowe działy wszelkiej wiedzy ludzkiej. Prawnika musi posiadać olbrzy-

mie doświadczenie życiowe i umieć podążać za wartkim strumieniem życia, które płynie dzisiaj daleko szybciej aniżeli dawniej.

W specyficznych trudnościach znajduje się prawnik polski wobec tego, że odziedziczyliśmy po państwach zaborczych stare dzielnicowe ustawy i zmuszeni jesteśmy do obracania się w dziedzinie obcych nam ustaw i form prawnych. Systemy trzech państw zaborczych pozostawiły nam do chwili obecnej cały szereg instytucji administracyjno-prawnych, a w dużej mierze pewną atmosferę duchową, dotychczas niewykorzenioną, która pokutuje w środowiskach, realizujących normy z dziedziny administracji. Zmuszeni jesteśmy wziąć pod uwagę, że pomijając już specyficzny pod względem prawnym system biurokracji rosyjskiej i stosunek jej do poddanych oraz przesiał-nięty duchem metternichowskim aparat *quasi* - liberalny administracji austriackiej, to wszelkie, nawet dobre instytucje prawne systemu austriackiego, jak również najlepszy pod względem fachowym z tych trzech systemów zaborczych aparat administracji niemieckiej, nie znajdowały się w tym stopniu pod presją dynamiki życia, jak nasza współczesna administracja polska, mająca, *par excellence*, za zadanie realizować tendencje państwa współczesnego. Zrozumiemy zatem tę wielką sprzeczność, jaka zachodzi między konserwatyzmem niektórych prawników, będących szczególnie pod wpływem ustawodawstw dawnych, a społeczeństwem współczesnym, stojącym wobec zupełnie odmiennych problemów życia. To też rozdźwięki między nimi a społeczeństwem są tego rodzaju, iż wywołują reakcję w formie istotnego buntu życia przeciw niektórym więzom, szczególnie proceduralnym, prawa.

Należy się zastanowić nad ciężarem gatunkowym pracy prawników administracyjnych, nim przejdziemy do analizowania roli, którą odgrywa, względnie odgrywać powinna współczesna administracja, oraz zagadnień, przed którymi stoi ona w szczególnie skomplikowanych chwilach doby obecnej. W tym względzie — zdaniem znawców zagadnień administracyjnych, na prz. R. Hausnera, Wiktora Supińskiego i inn. — tylko pewien procent urzędników-prawników można zaliczyć do grona prawników. Wielu bowiem takich „prawników“ od czasu ukończenia uniwersytetu nie odczuwa żadnej potrzeby rozszerzania swego horyzontu, poprzestając na znajomości jednej ustawy, często nawet jej części, którą w swojej praktyce stosują. Inni znowu prawnicy, hołdujący nienaruszalnym — według ich pojęć — normom prawnym, nie dostrzegają nieraz najoczywistszych prawd życiowych. Jest rzeczą jasną, że stosowanie do zróżniczkowanych, a często bardzo skomplikowanych spraw życiowych nagich norm prawnych w sposób mechaniczny, nie doszukawszy się w nich głębszych pobudek ustawodawcy oraz ich treści społecznej, jest niedopuszczalne, gdyż prowadzić

by to musiało w dzisiejszych warunkach życia do uszkodzenia całego mechanizmu społecznego.

W odróżnieniu od czasów przedwojennych, w których stosunki życiowe były uregulowane i zdawało się, że elementy prawa są ustalone — czasy obecne zmuszają do całkowitej rewizji pojęć i metod myślenia, wyrosłych ze stosunków prawnych przedwojennych. Prof. Wacław Makowski, syntetyzując nastroje i myśli, które się przejawiały na ostatnim kongresie prawników w Katowicach, odróżnia w nich trzy rodzaje myślenia prawniczego, mianowicie: a) przedwojennego, b) z okresu, w którym się kształtował pogląd prawny w ogniu wstrząśnień wielkiej wojny, i wreszcie c) z okresu powojennego, który jest w wielkiej mierze odbiciem naszej rzeczywistości. Idąc za kierunkiem myślenia prof. Makowskiego, zgadzamy się z nim najzupełniej, jeśli twierdzi, że zagadnienia życia należy rozstrzygać nie krępując się „tyranią“ pozbawionych już dziś żywej treści, papierowych formuł. Wobec powodzi ustaw i rozporządzeń toruje sobie słusznie drogę pewnego rodzaju prawo zwyczajowe, — jak to podkreśla Makowski, — zdrowy rozsądek i poczucie słuszności.

III

W swej broszurze *Zagadnienie podziału władz w prawie państwowym nowoczesnym* podkreśla Władysław Maliniak, jak groźne rozmiary przyjęła ucieczka od prawników. Na konferencji w sprawie nauczania prawa, w której uczestniczyli przedstawiciele praktyki, t. j. administracji i adwokatury, wszyscy byli przeciwko dawnemu systemowi nauczania prawa. Autor cytuje dwóch autorytatywnych przedstawicieli stanu prawniczego w Niemczech, t. j. Magnusa, który w r. 1930 stwierdza, że na służbę administracyjną w administracji publicznej powołuje się nawet wybitnych przedstawicieli ruchów społecznych — tylko dlatego, by kryć się przed manią fikcjonalistyczną w prawie. Autor cytuje fakt naszej biurokracji, który jest dostatecznym przykładem rzucającego się w oczy fikcjonalizmu, mianowicie: w swoim czasie przywieziono mumię z Egiptu dla jakiegoś muzeum, którą zakwalifikowano jako „suszoną rybę“ i zażądano zapłacenia z tego tytułu opłat celnych. Inny wypadek miał miejsce w czasie trwania blokady Włoch w związku z wojną w Abisynii. Otóż zwłoki zmarłego we Włoszech obywatela angielskiego, które rodzina zmarłego postanowiła przewieźć do ojczyzny, władze francuskie zakwalifikowały jako „towar włoskiego pochodzenia“, podlegający sankcjom.

Wychodzimy z założenia, że przy najidealniejszym ustroju władz i zakresie ich działania, przy najdoskonalszych pod względem prawnym i życio-

wym normach, administracja będzie zła, gdy ludzie, którzy mają ją spełniać, będą swe czynności spełniać źle. Punktem ciężkości zatem wartości administracji jest wartość personelu administracyjnego. W tym przedmiocie mamy do zanotowania cały szereg artykułów i prac młodej generacji prawników administracyjnych, którzy wypowiadali się na temat doboru personelu w administracji. Wszyscy podkreślają konieczność rekrutowania się personelu z grona prawników, lecz posiadających także znajomość tych dziedzin życia, z którymi się spotyka w praktyce urzędnik administracyjny. W pracach tych przeważnie traktowane jest zagadnienie szkolenia młodych adeptów administracji przez władze, poddana jest krytyce metoda dotychczasowego kształcenia, a tu i ówdzie wysunięto projekty racjonalnych zmian w tym kierunku. Rzecz jasna, że mnogość tych projektów, pochodząca od osób, wysuwających je na zasadzie własnego doświadczenia, stanowi obfity materiał dla wyciągania z nich odpowiednich i korzystnych dla przyszłości wniosków. Dotyczą one przeważnie czasokresu odbywania praktyki. Jedni żalą się na zbytne specjalizowanie ich w niektórych tylko działach z zakresu przyszłego ich urzędowania; inni uważają za niepotrzebne wykonanie całego szeregu prac kancelaryjnych, wszyscy jednak zdają sobie w dużej mierze sprawę z zadań współczesnego administratora, któremu przypadnie w udziale zręczne kojarzenie podpatrzonych sokolim okiem objawów życia z normą prawną.

W tym względzie niektórzy autorzy, między innymi M. Szerer, są zdania, że system stosowany przed wojną w niektórych państwach, które miały dobrą organizację urzędów, mianowicie że młody urzędnik albo zaczynał karierę od urzędów pierwszej instancji, albo odbywał w nich później dłuższą praktykę — system zresztą stosowany obecnie i u nas — odpowiada najzupełniej tendencjom stworzenia dobrego i sprężniętego z życiem urzędnika. Pierwsza instancja bowiem — to bezpośrednie zetknięcie się z życiem, to poznawanie praktycznych potrzeb społeczeństwa. Tu właśnie zachodzi możliwość przekonania się, jak zarządzenia, idące od władz naczelnych, wyglądają w zastosowaniu wobec obywatela i wobec codziennego życia. Normalny zatem tryb szkolenia urzędnika polega na stopniowym przeprowadzaniu go z niższej instancji do wyższej.

Widzimy więc, jak się kształtuje pojęcie dobrego urzędnika, który by mógł sprostać tym zadaniom, które na jego barki nakłada racja stanu i bieżące życie. Zdając sobie sprawę, że najważniejszym elementem organizacyjnym jest człowiek — jasne się staje, że zagadnienie polityki personalnej w najszerszym tego słowa znaczeniu zajmuje w hierarchii prac nad reorganizacją administracji jedno z miejsc naczelnych.

IV

Główną cechą nowoczesnej administracji jest okoliczność, że będąc wyrazem tendencji i istoty nowoczesnego państwa, jest ona aktywna i działa już wyraźnie w interesie całości społecznej, spełnia zatem *par excellence* funkcję społeczną. Według Duguity, profesora uniwersytetu w Nancy, państwo nowoczesne nie jest władzą suwerenną, która rozkazuje, ale jest grupą ludzi, którzy posiadają moc, ażeby jej użyć w sprawowaniu funkcji społecznej, w pełnieniu służby publicznej, czyniąc z władzy kierowników spraw zbiorowości zorganizowanej w państwo. Gdy mówimy o *służbie publicznej*, zaznaczyć należy, że pojęcie to jako *service publique* zostało po raz pierwszy sformułowane przez Radę Państwa w wyroku z 4 marca 1903 r., w wyroku zaś z 4 marca 1910 r. zostało ono określone, jako obejmujące całość kształt działań i zaniedbań władz administracyjnych, za których pomocą spełniają one swe publiczne powołanie. Ta teza z administracyjnego prawa francuskiego ma swój odpowiednik w polskiej konstytucji kwietniowej: „Administracja państwa jest służbą publiczną“. Zasada ta pozostaje w ściślejszej łączności z artykułami konstytucji, traktującymi o istocie państwa według pojęć polskiej racji stanu, mianowicie art. 9 ustawy konstytucyjnej, który brzmi: „Państwo dąży do zespolenia wszystkich obywateli w harmonijnym współdziałaniu na rzecz dobra powszechnego“; art. zaś 1 konstytucji stanowi: „Państwo Polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli“. Widzimy zatem, że jasno z treści tych artykułów wypływa naczelna zasada, postawiona przez Konstytucję w odniesieniu do władzy wykonawczej, t. j. do administracji: że jest ona służbą publiczną.

Nauka francuska szczególnie podkreśliła aktywność administracji, doszukując się w niej jej głównej racji bytu. Okazało się bowiem, że ustawa mogła często tylko nadawać pewną ramę prawną dla działań i zaniechań administracji publicznej, pozostawiając szczegółowe normy rozporządzeniom, względnie zarządzeniom władz administracyjnych; lecz i tu zdarzało się często, że w konkretnych wypadkach ramy te rozsadzało życie ze swymi różnymi: możliwościami i wypadkami. Twórczość i aktywność administracji polega więc na tym, że musi ona śledzić te różne wypadki, w których interesy administrowanych doznają uszczerbku, nie zgodnego zresztą z interesem ogółu, a w każdym razie — nie stojącego z nim w żadnej sprzeczności, musi ona dążyć do zaradzenia złu. Te działania administracji winny, oczywiście, znaleźć swój wyraz w odpowiednio skonstruowanym zarządzeniu. Nowoczesna administracja, służąc dobru ogółu, oddaje pośrednio usługi jednostkom i grupom. Aczkolwiek celem jej jest interes ogółu, a nie — jak w epoce liberalizmu — główna ochrona interesów indywidualnych, to spełnia ona jednakże ten cel ostatni, gdyż interesem społeczności całej jest

również ochrona składających się na nią jednostek, o ile w tym lub owym wypadku interes jednostki nie jest niezgodny z interesem ogółu.

Przyglądając się stosunkom administracyjnym w Polsce, musimy stwierdzić, że w niedawnej jeszcze przeszłości były one opanowane duchem ludzi, wyrosłych z atmosfery państw, które ze względu na warunki, panujące w czasach przedwojennych, jak również ze względu na charakter i ustrój ich społeczeństw, prowadziły byt zupełnie odrębny od naszego, państwa odrodzonego i nowoczesnego. Co więcej, stoją między innymi przed nami jeszcze zagadnienia, związane z koniecznością usuwania tych instytucji i zwyczajów, które pozostawiły nam w spadku państwa zaborcze. W tym względzie administracja nasza spełnić może cały szereg zadań natury wychowawczej.

Zatrzymując się na tym momencie naszego zagadnienia, pragniemy w porządku chronologicznym wysunąć tezy polityków i mężów stanu, jak również teoretyków, którzy przez ustawiczne i głośnie w interesie ogółu podkreślanie ważności czynników, tezy te wypełniających, stali się pionierami nowej misji administracyjnej w Polsce. W tym miejscu wymienimy obecnego premiera, gen. Sławoj-Składkowskiego, autora tezy, że za każdym aktem administracyjnym stoi żywy człowiek, w którego żale i bólączki urzędnik winien wnikać przy stosowaniu przepisów prawnych, odnośnej sprawy dotyczących. Podkreślił on również zasadę, że najdokładniejsza znajomość przepisów i umiejętność ich stosowania nie jest identyczna z zadaniami i obowiązkami administratora i sama w sobie daleka jest od istoty administracji. Podkreślanie tych zasad w okólnikach zainaugurowało erę przykładania do całego szeregu przepisów prawnych miary potrzeb życiowych i uzgadniania ich z biegiem życia, jak również z zasadami słuszności i zdrowego rozsądku. Wyłuskiwanie pozornie drobnych, a często bardzo istotnych dla życia zbiorowości braków, konieczność otoczenia ich ze strony administracji szczególną opieką — stawiały przed oczyma administratorów w bardzo wielu wypadkach przykłady niewspółmierności ich wysiłków, polegające na mozolnym interpretowaniu często zawiłych przepisów, z wynikami osiągniętymi dla życia praktycznego i dobra poszczególnych obywateli.

Wyobrazicielem zasad administracji społecznej był u nas b. minister spraw wewnętrznych, Marian Zyndram-Kościałkowski. O tej administracji społecznej, jako jednej z podstawowych zasad nowoczesnego rządzenia, mówił min. Kościałkowski, że wynika ona z ducha tych, którzy, walcząc o Polskę, wierzyli w urzeczywistnienie w niej zdrowych zasad społeczno-państwowych.

Nie będziemy dalecy od prawdy, jeśli stwierdzimy, że nie mały kłopot

sprawił naszym skądinąd zasłużonym przedstawicielom nauki prawa administracyjnego prof. Wacław Makowski, wszczynając swymi artykułami, ogłoszonymi swego czasu w *Gazecie Polskiej*, prawdziwą kampanię przeciw kultowi formalizmu w prawie administracyjnym. Upośledzenie bowiem materialnego prawa administracyjnego, czyli przepisów, regulujących już bezpośrednio sprawy, dotyczące stosunku obywatela do państwa, względnie potrzeby, z którymi w różnych wypadkach obywatel zgłasza się do władz i urzędów publicznych, na rzecz prawa administracyjnego formalnego, t. j. regulującego postępowanie formalne władz w tych wypadkach — stało się faktem, komplikującym już dawno życie, a szczególnie rażącym wobec zmian, które w nim zaszły w ostatnich czasach. Nie od rzeczy zatem będzie uwypuklenie charakteru dwóch wspomnianych artykułów prof. Makowskiego, poddających ostrej krytyce długie cytaty z dzienników ustaw, zawierających często poprawki do poprawek, a utrudniających nawet urzędnikom dokładne zrozumienie i możliwość stosowania odnośnej normy w konkretnym wypadku. Poza tym znajdujemy u prof. Makowskiego cały szereg przykładów, wykazujących szkodliwość mechanicznego stosowania ustaw i przepisów, z pominięciem istotnej treści danego prawa i jego użyteczności życiowej.

V

Godzi się odwrócić obecnie drugą stronę medalu i w pierwszym rzędzie wskazać na (zresztą często przez innych podkreślany) szczegół, t. j. na pozostały z czasów niewoli nieżyczliwy stosunek naszego społeczeństwa do czynników administracyjnych. Społeczeństwo nasze tkwi jeszcze ustawicznie w przekonaniu, że państwo roztacza daleko idący i niepotrzebny nadzór nad społeczeństwem, które chce sobie najzupełniej podporządkować, przy czym społeczeństwo to nie odróżnia władz własnego państwa od słusznie znienawidzonych władz dawnych państw zaborczych. Pojęcia „rząd, rządowe, urzędnik“ pozostały jeszcze u niektórych synonimami czynników ucisku, niesprawiedliwości i krzywdy wyrządzanej obywatelowi. Jest rzeczą konieczną, by administracja, chcąc spełniać wszelkie ciążące na niej w obecnej chwili zadania, związane bezpośrednio z utrzymywaniem ładu i spokoju publicznego, miała przy swym boku karne, zdyscyplinowane i żywciliwie do niej nastawione społeczeństwo, które wszystkimi siłami powinno jej te zadania ułatwić.

Nie od rzeczy także będzie wskazać na stosunek obywatela do funkcjonariusza publicznego w innych państwach, a w pierwszym rzędzie w społeczeństwach o nastawieniu wolnościowym, jak na prz. w Anglii i Francji. Stwierdzić musimy, że w tych krajach stanowisko obywateli w tym kierunku

ku jest dowodem wysokiej kultury państwowej tych społeczeństw. Urzędy i ich funkcjonariusze są w tych krajach w wielkim poszanowaniu. Obywatele tych państw nie odczuwają dotkliwie tamy, nałożonej ich swobodom obywatelskim przez konieczność wywiązywania się ze swych obowiązków względem państwa. Wprawdzie mamy przykłady nawet krzykliwego krytykowania zarządzeń władz we Francji, ale po nich następuje potulne stosowanie się do wymagań władzy. U Anglosasów istnieje wprawdzie pewnego rodzaju familiarna poufałość w stosunku do władz, z którą jednak łączy się doskonale uległość wobec ich postanowień i nakazów. Nigdzie jednak — jak stwierdza znawca zagadnienia urzędniczego i autor wielu prac z tej dziedziny, Mieczysław Szerer — z wyjątkiem może Ameryki Południowej, nie spotyka się takiego lekceważenia własnej władzy i takiej w czyn przechodzącej oporności wobec niej jak w Polsce. Źródła tego stanu są, według Szerera, następujące: niekarność, przekazana tradycja i indywidualizm polski, który wytwarzał przepyszných obywateli, ale też groźne dla siebie społecznie i politycznie państwo. Drugie źródło tkwi, według Szerera, co z naciskiem podkreślamy, w byłym zaborze rosyjskim — w nieśczęsnej pamięci, pozostawionej przez urzędnika rosyjskiego, do którego społeczeństwo odczuwało nie tylko niechęć, ale traktowało go jako pośledniejszy gatunek człowieka. W czasach obecnych stosunek ogółu do urzędnika nie jest taki, jakim być powinien, a społeczeństwo nie ma często właściwego zrozumienia dla ciężkiej i w niektórych wypadkach ofiarnej pracy urzędnika.

Co do zagadnienia t. zw. biurokratyzmu, to zachodzi wprawdzie konieczność pewnej schematyczności postępowania i pewnej techniki pracy w urzędach, ale bez tej przesady, która w tym kierunku stwarza często zgubny dla ogółu fetyszym, będący udziałem bardzo wielu środowisk urzędniczych. W każdym razie jest rzeczą nieodzowną, by urzędnicy w pierwszym rzędzie uświadomili sobie konieczność zapoznawania się z dziedziną dla nich najbliższą, z dziedziną norm społecznych. Nie trzeba długo dowodzić, że w okresie szczególnego wikłania się zagadnień życia, zasad i przekonań, nie wszystko da się zarejestrować za pomocą formuł prawniczych. Z procesami życia zaznajamiają nas warunki społeczne i praktyczne, bezpośrednie zbliżenie się do życia społecznego. Tylko w styczności z nim może urzędnik poznać i należycie ocenić wszelkie bolączki obywatela, którym powinien zgodnie z obowiązującymi przepisami i mając na oku dobro ogółu jak najsumiennie zaradzić.

WILLIAM MAC DOUGALL

ANTROPOLOGIA I HISTORIA

Wybierając za przedmiot wykładu ku czci założyciela chemii, Boyle'a ¹⁾, temat „antropologia i historia” — sam odczuwałem, jak dziwnie był stosowny. Mąż, którego pamięć dziś czcimy, chociaż tak wielki był dla chemii, nie ograniczał swych zainteresowań i badań do tej sfery wyłącznie; żywo i czynnie zajmował się wielkimi zagadnieniami dobra i rozwoju rodzaju ludzkiego, a nawet ściśle osądzał wartość odkryć naukowych według ich możliwości przyczynienia się do dobra ludzkości. W dniach owych antropologia zaledwie zaczynała się zarysowywać, nie było nauki o człowieku, zdolnej rzucić światło na zagadnienia, obchodzące historyka i męża stanu. Lecz możemy być pewni, że gdyby był teraz z nami, byłby pionierem na tym polu myśli, na które chcę dziś zwrócić uwagę słuchaczy.

Ze wzrostem poznania idzie w parze wzrost specjalizacji, i wzgląd na specjalizację nadaje dziś kierunek organizacji naszych studiów uniwersyteckich. A choć specjalizacja jest nieunikniona i konieczna, ma swoje wady — zbyt znane i widoczne, by się nad nimi trzeba było rozwodzić. Właściwym antidotum przeciw tym wadom jest nadanie odpowiedniej wagi szerszemu podłożu dla wszystkich naszych studiów. W tym też celu, dla przeciwdziałania jednostronności specjalizacji, należy roztoczyć *vue d'ensemble*, widok perspektywiczny, w stosunku do którego nasze szczegółowe badania i odkrycia otrzymują odpowiedni dystans. Widzi się wtedy, że same w sobie są to niewielkie sprawy, lecz tem nie mniej są fragmentami wielkiej całości poznania, które żyje i idzie naprzód. Wtedy staje się jasne, że ze stosunków do całości czerpią one swą godność i wartość.

¹⁾ Odczyt ku czci Boyle'a, wygłoszony w Balliol College — Oxford, 1920; książkowo wydane w zbiorze „Religion and the Sciences of Life”, London, 1934; str. 82—102.

Na tym uniwersytecie pierwszym naszym zadaniem jest utrzymywać, pielęgnować i popierać to ustosunkowanie się części poznania do całości, prostować i poprawiać skutki nieuniknionego wzrostu specjalizacji studiów przez rozszerzanie i nieustanne uprzystępnianie ich tła — wielkiej całości nauk. Godnym uznania krokiem w tym kierunku jest, jak sądzę, założenie na tym uniwersytecie nowego kolegium nowoczesnej historii i filozofii: bo to połączenie historii z filozofią oznacza, że historię ma się studiować z najszerszego ludzkiego punktu widzenia, nie jako historię instytucji politycznych, albo tylko ekonomicznych stosunków, lecz jako dział antropologii, nauki o człowieku. I pragnąłbym w dzisiejszym odczycie, jako skromny adept antropologii, oświetlić drogę, na której moglibyśmy wzbogacić historię, a wyniki nieuniknionej specjalizacji i wzrastającego zajmowania się szczegółikami historycznymi zrównoważyć i poprawić, rozpatrując je na szerokim tle antropologii, traktując jako dział tej szerszej nauki.

O antropologii przeważa zbyt pospolite a mętne wyobrażenie, że zajmuje się ona wyłącznie, lub przynajmniej przeważnie, pomiarami czaszek i nieskończonymi dysputami co do znaczenia tych pomiarów. Oczywiście, wyobrażenie to jest zbyt groteskowe. Jednak bardzo powszechnie, a nawet ze strony niektórych jej zawodowych przedstawicieli uważa się (co jest absolutnie zbyt ciasne), że antropologia — to nauka, zajmująca się człowiekiem prymitywnym lub dzikim. Tak ujęta, ma olbrzymie pole badań — i to takie pole, które wymaga niechybnej i pośpiesznej uprawy z tej racji, że człowiek prymitywny, czy społeczeństwa prymitywne znikają błyskawicznie, ulegając bądź to zniszczeniu, bądź przemianom. Bardzo prędko sposobność do badań, narazie wciąż jeszcze istniejąca, sposobność obserwacji życia ludzi w tym prymitywnym stadium kultury, zniknie na zawsze. I to jest obszerne usprawiedliwienie dla forytowania w dziedzinie antropologii studiów nad prymitywnym człowiekiem i poświęcania im prawie wyłącznej uwagi.

Nasza świetna szkoła antropologii, pod wytrawnym kierownictwem p. Balfoura i doktora Maretta, wykazała, jak pobudzające, jak produktywne może być to studium, gdy ma należne mu miejsce na uniwersytecie. Ale chociaż studia nad prymitywnym człowiekiem uważa się słusznie za najbardziej wysuwającą się na czoło dziedzinę antropologii, jest to — po pierwsze — skutkiem palącej nieodzowności tych studiów (z wyżej podanych przyczyn), po wtóre — jest to wynikiem obecnego stadium rozwoju tej nauki. Bo nauka jest jeszcze we wczesnym stadium rozwoju i jest rzeczą słuszną, by atakowała swe problemy tam, gdzie ukazują się jej w najprostszych formach, mianowicie w małych stosunkach odizolowanych grup, społeczeństw prymitywnych. Bo tam i rasy są stosunkowo prostsze i umysł ludzki pracuje stosun-

kowo niezależnie od tego nagromadzenia skomplikowanej tradycji, jakim jest cywilizacja.

Lecz antropologia zbiera wiedzę o prymitywnym człowieku i zrozumienie jego istoty nie dla niego samego głównie lub wyłącznie, lecz dla celów człowieka i kultury. Całe zrozumienie istoty prymitywnego człowieka, tak świetnie i wnikliwie osiągnięte przez naukę, ma wartość głównie dlatego, że rzuca światło na naturę i instytucje ludzi cywilizowanych, na nas samych. A to można uzyskać tylko wtedy, gdy nauka nawiąże czynną współpracę z historią w ściślejszym znaczeniu słowa. Śmiem sądzić, że bez współpracy z antropologią historia nie może osiągnąć tych triumfów, do jakich jest uprawniona. Nie może bowiem spodziewać się, że zrozumie wzrost i upadek narodów, państw i grup, nie może przewidywać przyszłości albo užycząć mężom stanu w pełnej mierze wskazówek, których szukają w studium przeszłości, podejmując się kształtować losy przyszłe.

Historia jednak była ostrożna, nie spieszyła z wzywaniem antropologii na pomoc. Próby zastosowania antropologii wydawały fatalne wyniki. Ostatnia z tych prób, najbardziej fatalna, zaczęła się — rzecz można — od ogłoszenia w r. 1854 przez hr. Gobineau słynnej książki *Nierówność ras ludzkich*, a osiągnęła swój szczyt w jeszcze bardziej słynnej i osławionej książce H. S. Chamberlaina *Podstawy XIX stulecia* i w końcu odegrała niepoślednią rolę w systematycznym rozwydrzeniu narodu niemieckiego, które przyczyniło się do wybuchu wielkiej wojny. Ci pisarze i ich szkoła nauczali, że ze wszystkich ras ludzkości jedna jest nieskończenie wyższa od innych, będąc jedynie zdolną do tworzenia i utrzymywania szlachetnej cywilizacji, i dlatego ta rasa powinna panować nad innymi rasami i ludami na świecie. Odsuwając na bok pytanie, czy na dnie tego dogmatu, tak ekstrawagancko wywyższającego rasę nordycką Europy, jest jakieś małe ziarno prawdy — musimy przyznać, że tak nieprzytomne i niezrównoważone próby zastosowania antropologii do historii narobiły dużo szkody, gdyż — niezależnie od tego nieszczęsnego wyniku, że przewróciły do góry nogami kulturę Niemiec, zdystryktowały antropologię w oczach wszystkich trzeźwych historyków i w ten sposób znacznie odsunęły tę chwilę, gdy historia i antropologia zaczęły współpracować ściśle i owocnie.

Takie i tym podobne pośpieszne próby, oparte na niedostatecznych danych i na wnioskach wykoszlawionych przez rasowe i narodowe upodobania czy niechęci, przyniosły złą sławę antropologii, skłoniły wielu trzeźwych myślicieli do odrzucenia wszelkich rozważań o zagadnieniach rasowych odrębności w ustosunkowaniu się do historii. Wszystkie próby antropologii, by rzucić światło na historię, uważane są za zajęcie ludzi pogardliwie nazwanych „spekulantami rasistycznymi“. Z reakcji na to zbyt pośpieszne zasto-

sowanie, wielu myślicieli skłoniło się ku przeciwległemu ekstremowi: albo zaprzeczają wprost istnieniu różnic między rasami i narodami na punkcie konstytucji mentalnej, albo też utrzymują, że stopnie tych różnic są zbyt małe, by mogły wpłynąć na losy narodów, i zbyt ciemne, by je można było rozróżnić lub określić jakimiś metodami, które spodziewamy się wymyślić. J. S. Mill dał wyraz temu pogładowi: „Ze wszystkich wulgarnych sposobów ucieczki od rozważań co do wpływów socjalnych i moralnych na duszę człowieka, najbardziej pospolity polega na tym, że różnice zachowania się przypisuje się ukrytym i przyrodzonym różnicom naturalnym“.

To *dictum* zostało przyjęte powszechnie i — z grubsza biorąc — prawdą jest, że w ostatnich dekadach historycy uważali rasowy skład ludów, lub przynajmniej narodów cywilizowanych, za czynnik podrzędny. Mill i jego zwolennicy wierzyli, że pośród cywilizowanych społeczeństw otoczenie społeczne i wychowanie tak potężnie urabiają rozwój każdej generacji, iż przytłacza to zupełnie wszelkie odrębności rasowe — tak, że nie wchodzi one w ogóle w rachubę. To też, nie zaprzeczając dogmatycznie istnienia różnic rasowych, rozpatrują oni ludność wszystkich państw cywilizowanych jako złożoną z osób, które w rezultacie, dla celów historii i socjologii, można uważać za surowy materiał indyferentny, za masę jednostek ulanych według jednego wzoru, przy czym każda stanowi dokładny ekwiwalent innej jednostki — podczas gdy różnice, jakie wykazują jednostki i klasy, należy przypisać całkowicie różnicom przypadku i wychowania.

A przecież, przyjrawszy się uważnie tej kwestii, silnie przekonany jestem, że to mniemanie jest fałszywe i że rasowy skład i przemiany, które zachodzą i zawsze zachodziły w przyrodzonych właściwościach ludów, są to czynniki pierwszej wagi dla zrozumienia historii, że dają one klucz do pewnych najbardziej rzucających się w oczy wydarzeń w historii Europy i świata. W tak krótkim odczycie nie mogę należycie wyłożyć tego poglądu, a tym mniej nie mogę go obronić i usprawiedliwić jak należy. Mogę tylko pokusić się o zapowiedzenie kilku ważniejszych punktów dłuższej argumentacji, jaka byłaby tu na miejscu, mając nadzieję, że uda mi się zwrócić uwagę i otworzyć oczy na potrzebę poważnego rozważenia rzeczy widocznych i ewidentnych.

Ci, którzy przeczą ważności rasowego składu ludów, a których pozwolę sobie nazwać „niwelatorami ras“ w odróżnieniu od „spekulantów rasistycznych“ — zwyczajnie podkreślają pewne fakty niezaprzeczone. Wykazują, że wszelkie rasowe różnice w konstytucji mentalnej, o ile w ogóle istnieją, są tak nikłe i ukryte, że nikt dotąd nie był w stanie określić ich przekonująco. Obstają przy fakcie, ściśle z tym się wiążącym, że ilekroć człowiek jakiegokolwiek rasy — czy barwa skóry jego jest biała, brunatna, żółta czy czarna,

a jego głowa okrągła, długa czy kwadratowa — o ile jest wychowany w środowisku cywilizowanym, zazwyczaj nabywa elementy tego środowiska z zupełną łatwością, a co do cech mentalnych niepodobna go odróżnić od otoczenia ludzkiego, w którym żyje. Dalej — niestrudzenie wskazują na to, że w Europie w chwili obecnej nie ma ras czystych i że ludność każdego europejskiego kraju składa się z potomstwa wielu ras i plemion, mniej lub więcej wymieszanych przez małżeństwa.

Te fakty są niezaprzeczone, lecz nie wynika z nich wcale, że skład rasowy nie ma znaczenia. Po pierwsze, przypomnijmy sobie, że ostatnie fazy rozwoju nauki o ewolucji i dziedziczności są po stronie właściwości rasowych. W czasach gdy Mill, Buckle i inni uczyli, że rasa jest czynnikiem podrzędnym — „genetyka“ jeszcze się nie narodziła. Przypuszczano, że doświadczenie każdej generacji samo odbija się na rasie, kształtując ją błyskawicznie a skutecznie w harmonii z jej otoczeniem, moralnie i fizycznie. Wiemy, że był to błąd. Wiemy, że cechy rasowe, zarówno fizyczne jak i mentalne, są niezwykle stałe i trwałe, i jeśli doświadczenie każdej generacji w jakiejś formie i w jakimś stopniu przenosi się jako modyfikacja cech rasowych, dzieje się to tylko w stopniu nieznacznym — tak, że jakiegokolwiek tego rodzaju urabianie odbija się tylko bardzo nieznacznie na szeregach następnych generacji.

Odkryliśmy także błąd w innej fundamentalnej tezie pisarzy ze szkoły Milla — w tezie, którą odziedziczyli po Lockem — mianowicie, że umysłowość każdego nowonarodzonego dziecka jest właściwie *tabula rasa*, jest czystą kartą papieru, na którym doświadczenie może pisać co mu się podoba, że jest niezróżniczkowaną masą plastyczną, z której można urobić każdy kształt za pomocą nacisku otoczenia, ponieważ nie istnieją silnie zarysowane tendencje dziedziczne, albo odrębności, które by mogły się temu oprzeć, albo zareagować specyficznie na ten kształtujący nacisk.

Chciałbym tu poddać uwadze zasadę, jak mi się wydaje, pierwszorzędnej wagi — zasadę, której zaniedbanie jest powodem trwania skrajnie przeciwległych poglądów: „niwelacji rasowej“ i „spekulacji rasistycznej“. Zasada ta stwierdza, że chociaż odrębności w mentalnych cechach rasowych są stosunkowo małe, zbyt małe — tak, że nie można ich z całą pewnością rozróżnić u jednostek, jednak są wielkiej wagi w życiu narodów, ponieważ wywierają poprzez wiele generacji stały napór na rozwój kultury i instytucji narodowych, napór, który — mimo że jego wyniki niewielkie są w ciągu życia jednej lub dwóch generacji — na dalszy dystans dziejowy wywołuje wyniki bardzo wielkie, stopniowo harmonizując kulturę i instytucje danej grupy z jej właściwościami rasowymi. Kultura bowiem każdego cywilizowanego narodu składa się z wielu elementów. Każdy z nich albo przybył z jakiegoś zewnętrznego źródła, albo też zrodził się w duszy

jakieś wyjątkowej, oryginalnej postaci, czy w duszach kilku takich postaci, pośród samego narodu. W każdym wypadku taki nowy element kultury ustala się w tradycji narodu tylko poprzez proces współzawodnictwa z innymi elementami rywalizującymi i niezgodnymi z nim, które on wypiera lub nie dopuszcza do ich ustalenia. Głównym czynnikiem rozstrzygającym o powodzeniu i ostantiu się w tej walce o byt, w tym procesie naturalnej selekcji pomiędzy elementami kulturalnymi, jest zawsze rasowy skład, czyli — innymi słowy — suma wrodzonych cech mentalnych grupy narodowej, bo ta suma wrodzonych właściwości jest właśnie otoczeniem, do którego, drogą subtelного i długotrwałego procesu selekcji, pewien gatunek kulturalny musi stale się przystosowywać.

Jeśli ta zasada jest słuszna, to można z niej wyciągnąć dwie konsekwencje i obie — jak sądzę — znajdują daleko idące potwierdzenie w obserwacji. Po pierwsze, wynika z tego, że właściwości rasowe narodu wyrażają się jaśniej i pełniej w kulturze i w instytucjach, niż w życiu jednostek. Po drugie — że rasowe odrębności narodu, pozostając zasadniczo w harmonii z kulturą i instytucjami, rozwijają się pod wszystkimi wpływami kulturalnymi i są podkreślane w każdej generacji przez wszystkie wpływy kulturalne, pod którymi ta generacja wyrasta i dojrzewa. W rezultacie tej harmonii wrodzonych i nabytych cech w każdym narodzie, który przebył już dłuższą drogę rozwoju naturalnego, niezmiernie trudno jest rozróżnić jedno od drugich. Łatwo tedy przychodzi „niwelatorom rasowym“ przypisywać wpływowi wychowania owe odrębne narodowe właściwości, które w rzeczywistości są skomplikowanym wyrazem harmonijnego współdziałania zarówno natury jak i wychowania.

Bywają rzadkie wypadki, w których obca kultura została narzucona jakieś grupie narodowej przez zewnętrzną siłę albo autorytet. W tych właśnie wypadkach mamy sposobność oglądać i jasno rozróżniać wpływy cech rasowych, bądź wpływy kulturalne. Taki wypadek możemy obserwować na Haiti, gdzie Francuzi, w swym dawnym entuzjazmie i zapale dla ideałów równości, wolności i braterstwa, narzucili ludności rasy murzyńskiej sporo kultury zachodniej Europy, włączając chrześcijaństwo, francuski język i wykształcenie: a potem, po krótkim okresie czasu, cofnęli swój regulujący i kontrolujący wpływ i pozostawili lud, tak szlachetnie wyposażony w obcą kulturę, swemu losowi. Rezultaty są znane całemu światu: gwałtowny nawrót ku barbarzyństwu, z częstymi wybuchami ludożerstwa i innych dzikich praktyk, i poziom życia politycznego, który chyba można porównać z kapryśnymi pomysłami opery komicznej. Drugi bardzo podobny i bardzo pouczający wypadek można znaleźć w republice Liberii.

Zilustrujmy jeszcze zasadę tu wypowiedzianą dwoma przykładami

rozszerzania się instytucji religijnych na wielkich obszarach świata. Religię często rozważa się, z jednej strony, jako sprawę bardzo osobistą, w której sama dusza człowieka szuka swej własnej drogi pojednania i wybawienia, stosownie do odrębności własnej swej natury. Jednak, z drugiej strony, wiemy wszyscy, że dla ogromnej większości ludzi formy ich wierzeń i praktyk religijnych są wyznaczone przez te, jakie przeważają w społeczeństwie, w którym się urodzili. I mamy tu przeciwległe poglądy „niwelacji rasowej“ i „spekulacji rasistycznej“ w ich zastosowaniu do tego szczególnego problemu.

A zatem religia Buddy została założona w Indiach i rozpowszechniła się rychło wśród ludów tego subkontynentu; lecz po tym początkowym sukcesie znów straciła popularność i w końcu prawie wymarła w swym ojczystym kraju. Natomiast pośród ludów zupełnie innej rasy, dalej na wschodzie, mianowicie wśród ludów Burmy, Tybetu, Chin i Japonii, rozszerzała się w dalszym ciągu. I pośród tych właśnie ludów utrzymała się na wiele stuleci, jako religia panująca. Trudno podać tu jakieś inne powody dla tego zaniku jej na jednym wielkim obszarze, a dla ciągłego rozszerzania się i zawładnięcia innym terenem — poza odległymi różnicami rasowymi między zaludnieniem jednego i drugiego obszaru.

Bardziej uderzający, bo bliższy nam w czasie i przestrzeni jest rozdział dwóch form religii chrześcijańskiej, formy rzymskiej i formy protestanckiej, pokrywającej się z rozmieszczeniem ras w Europie. Ze wszystkich badań i dyskusji etnografów co do ras Europy, jeden fakt wysuwa się najbardziej jasno jako ustalony, mianowicie identyczność rasy nordyckiej, wyróżniającej się fizycznie wysokim wzrostem, jasną cerą, podługowatą czaszką, wysokim stopniem niezależności umysłowej, inicjatywy, zamiłowania do przygód i ciągłego niepokoju. Nie zapraszam tu oczywiście nikogo, by szedł w ślady Gobineau i Chamberlaina i przypisał tej rasie wszystkie cnoty, odmawiając ich równocześnie dwóm pozostałym wielkim rasom w Europie, t. j. alpejskiej i śródziemnomorskiej. Wspomniane przeze mnie cechy mentalne są tak silnie zarysowane, że chyba są uznane prawie przez wszystkich, którzy przyjrzeni się uważnie temu przedmiotowi. I właśnie gdy się studiuje mapę rozmieszczenia protestantów w Europie, a po tym mapę rozmieszczenia nowoczesnych przedstawicieli tej rasy w Europie — widać, że obie mapy prawie się pokrywają. Wielka Brytania, Skandynawia, Dania, Holandia, północne Niemcy, w mniejszym stopniu północna Francja — to najważniejsze części obu tych obszarów. Nie skłaniam tu nikogo do wiary, że, na przykład, każdy protestant wybiera swą formę religii, ponieważ głowa jego jest długa a oczy niebieskie, ani też ponieważ posiada niezależność i niechęć do wiary w autorytet, właściwą rasie nordyckiej; powiadam tylko,

iż należy sądzić, że te odrębności rasowe odegrały pokaźną rolę w sukcesie reformacji pośród tych ludów i społeczeństw, wśród których ten element rasowy silnie był reprezentowany.

Są jeszcze inne fakty statystyczne, które odsłaniają trwałość tych cech mentalnych rasy nordyckiej pośród mas ludności, w których te fizyczne cechy rasowe przeważają. Chcę wspomnieć tylko, że niespokojny duch, żądny przygód, przejawia się w owych grupach także w wysokim procencie pijaństwa, samobójstw i rozwodów, procencie o wiele wyższym, niż w grupach innych, bardzo podobnych pod innymi względami, lecz różniących się co do relatywnego braku tych cech fizycznych.

Rozważmy teraz zastosowanie tego antropologicznego faktu dla wyjaśnienia zjawiska politycznego o jak największej ważności. Francja i Wielka Brytania były dwoma największymi mocarstwami kolonialnymi w nowoczesnej Europie; oba te państwa osiągnęły olbrzymie zdobycze kolonialne. Ale jakże wielka różnica w późniejszej historii tych zdobyczy! Gdziekolwiek brytyjskie plemię postawiło nogę, utrwaliło tam swoje posiadanie, a jego kolonie rozszerzały się w dalszym ciągu aż do granic możliwości; Francja natomiast potraciła olbrzymie przestrzenie, niegdyś do niej należące, a w tych, które zachowała dotąd, liczba osób francuskiego pochodzenia jest stosunkowo mała. Co więcej, na każdym z wielu odcinków kolonialnych, gdzie brytyjcy i francuscy koloniści i budowniczo imperium zetknęli się i doszli do rywalizacji i konfliktu, Brytowie odnieśli sukces kosztem swych francuskich rywali. Ta sama historia powtarzała się w Indiach, w Afryce, w Ameryce i na Oceanie Spokojnym. Nie działa się to dzięki jakiemuś istotnemu brakowi odwagi, geniuszu czy ambicji ze strony Francuzów: geniusz narodu francuskiego we wszystkich sztukach i naukach cywilizacji stoi najwyżej lub co najmniej tak wysoko, jak nasz własny.

Różnaity stopień siły i ekspansji w świecie, wykazany przez te dwa narody, musi pozostawać w jakimś związku z głębokimi różnicami w charakterze narodowym. Te różnice są tak uderzające, że zostały powszechnie uznane. Buckle zestawiał to w dwu powiedzeniach: „duch niezależności u Brytów“ i „duch protekcji u Francuzów“. Różnica narodowego charakteru, lub mentalnych cech tych obu narodów, tak udatnie utrwalona w tych dwu powiedzeniach, ukazuje się w każdym prawie szczególe instytucji politycznych i zwyczajów społecznych tu i tam, najdobitniej może w wysoce scentralizowanym systemie administracji francuskiej i w rodzinnych obyczajach ludności.

Nie mam tu czasu na ilustrowanie tych różnic szczegółowo, lecz chcę stwierdzić, że różnice te tkwią głęboko w samej rasie i nie są tylko narzucone każdej generacji na nowo przez wychowanie i otoczenie społeczne. Po-

czyniono wiele prób, by wyjaśnić owe różnice właśnie w ten sposób; próby te zawiodły zupełnie. Większość ich polegała na wskazywaniu na wysoce scentralizowany system Francuzów i na ich różne instytucje społeczne. Twierdzono, że te instytucje narzucają każdej generacji zmysł zależności od władzy państwowej, od wspólnoty, od rodziny. Głębsi historycy starają się wyjaśnić to, jak — według prawdopodobieństwa — formy protektywne tych instytucji społecznych zostały zadecydowane przez historyczne wypadki ostatnich stuleci. Czynią też podobne zabiegi, by wyjaśnić brytyjskiego ducha niezależności. Rzućmy okiem na te próby.

Sir Henry Maine dowodzi wielkiego wpływu prawa rzymskiego na instytucje francuskie. Wykazuje, że francuscy prawnicy, wychowani w szkole prawa rzymskiego i uważający cesarstwo rzymskie za ideał organizacji politycznej, rzucili całą swą kompetencję na szalę monarchii i na korzyść scentralizowanej administracji. Pomysłowi temu można przyznać pewną wagę. T. H. Buckle przypisuje przewagę ducha protekcji we Francji częściowo wpływowi kościoła rzymskiego, częściowo zaś długiej przewadze feudalnego systemu organizacji społecznej, w którym każdy Francuz musiał czuć swą osobistą zależność od despotycznej potęgi swego feudalnego pana. Ten system — powiada — kulminował w despotyzmie Ludwika XIV, przez poddanie królowi szlachty przed tym niezależnej. Przewagę ducha niezależności w Anglii przypisuje Buckle, w podobny sposób, charakterowi angielskich instytucji politycznych w ciągu ostatnich stuleci. Pokazując, jak w ciągu XVI, XVII i XVIII stulecia lud odnosił ciągłe sukcesy w utrzymywaniu swych swobód przeciw władzy królewskiej, pisze: „W Anglii bieg rzeczy, który usiłowałem śledzić od XVI stulecia, rozwinął w społeczeństwie świadomość własnych możliwości, sprawność i niezależność w korzystaniu z nich, oczywiście niedostateczną, lecz o wiele wyższą, niż ta, jaką posiadał wówczas którykolwiek z wielkich krajów europejskich“. Lecz Buckle nie był zupełnie zadowolony z tego wyjaśnienia, dodał zatem: „Prócz tego, inne okoliczności... zaczęły, już około XI wieku, wpływać na nasz charakter narodowy, nadając mu tę hardą śmiałość, a równocześnie owo nastawienie do przewidywania i ostrożnej rezerwy, którym to właściwościom umysłowość angielska zawdzięcza swe główne cechy“. Ową inną okolicznością, która była w oczach Buckle'a przyczyną angielskiej niezależności, było ustalenie feudalnego systemu przez Wilhelma Zdobywcę w innej formie niż ta, która panowała we Francji. Angielscy szlachcice otrzymywali swe lenna wprost od króla i wszyscy właściciele ziemscy zmuszeni byli uznać swe zobowiązania wobec króla. Szlachta nie była zatem zdolna do użycia własnej siły, by przeciwstawić się sile króla, i dlatego, kiedy chciała się oprzeć zamachom władzy królewskiej, wzywała lud na pomoc. Stąd — powiada Buckle —

lud angielski wcześniej nabył prawa i przywileje i nastawienie do zorganizowanego opierania się centralnej władzy. „Angielska arystokracja w ten sposób zmuszona była, przez własną swą słabość, opierać się na ludzie; naturalnym skutkiem tego było, że lud przepełnił się tą niezależnością i nabrał tej dumy w zachowaniu się, których raczej wynikiem niż przyczyną są nasze instytucje polityczne. Temu właśnie, nie zaś iluzorycznej odrębności rasowej, zawdzięczamy tego hardego i przedsiębiorczego ducha, z którego słynęli mieszkańcy tej wyspy“²⁾.

Historyk francuski M. Boutmy³⁾, uznając tę samą różnicę i rozmyślając nad nią, także chciałby wyjaśnić ją jako wynik różnych instytucji politycznych, utrzymujących się od średniowiecza. Wykazuje on, że od czasów podboju normandzkiego królowie Anglii mieli wielką władzę i byli skłonni do różnych wykroczeń, właściwych władzy absolutnej. Stąd pierwszą potrzebą ludu było obwarować się przeciw królowi. Wszystkie prawa Anglii — powiada Boutmy — noszą znamię tej obawy i tej nieufności. Parlament został stworzony przeciw koronie, sędziowie przeciw parlamentowi, a sądy przysięgłe przeciw władzy sędziów. Od czasów podboju normandzkiego Anglicy przyzwyczaili się do twierdzenia i do myślenia, że ich osoby, ich domy i ich kieszenie są nietykalne, że państwo jest głównym nieprzyjacielem, którego zamachy muszą napotkać na twardy opór. Ten sposób myślenia przez długą praktykę stał się instynktowny, wzrastając z generacji na generację — tak, że wstręt do służalczości i niewoli zakorzenił się w naturze Anglika, a pożądanie niezależności stało się wrodzoną i pierwszą namiętnością jego duszy.

Są to ciekawe spekulacje, a w obecnym związku ilustrują one potrzebę pomocy antropologii dla historii, dla historyków zaś — potrzebę studiów antropologicznych. Bo ci trzej świetni historycy naprawdę piszą tak, jak gdyby kosmogonię biblijną brali dosłownie, jak gdyby wierzyli, że rasa ludzka zaczęła swe bytowanie od Adama i Ewy, sześć tysięcy lat temu. Widocznie uważają tysiąc, a nawet pięćset lat za długi okres w historii ludzkości. Wydaje się wprost, że nie wiedzą, iż rasy ludzkie powoli rozwijały się przez setki tysięcy lat i że okres jednego lub dwu stuleci jest w historii życia ludzkości jedynie przelotną chwilą.

Pokazałem, że zarówno Buckle jak i Boutmy przypisują angielskiego ducha niezależności faktowi, że przed niespełną tysiącem lat Anglia była zdobytą i rządzoną przez potężnego despotę. Podobnej też przyczynie przypisują przeciwny wynik we Francji, mianowicie wpływowi despotycznych władz. Oczywiście rzecz, że ich wyjaśnienia są zupełnie chybione. Pominę już fakt,

²⁾ Historia cywilizacji w Anglii, tom II, str. 114.

³⁾ *Essai d'une Psychologie politique du peuple anglais*, Paris, 1903.

że te „historyczne wyjaśnienia“ nic nie mówią o Szkotach z dolin, którzy wykazali ducha niezależności, nawet w wyższym stopniu niż Anglicy, a poprzestaną tylko na następujących rozważaniach. Gdyby lud angielski nie posiadał już w wielkiej mierze ducha niezależności w czasie podboju normandzkiego, z pewnością silnie scentralizowana władza byłaby go zrobiła jeszcze bardziej zależnym, wyhodowałaby, mówiąc słowami Buckle'a, „ducha protekcji“. I gdyby charaktery Francuzów i Anglików pod tym względem w rezultacie przedstawiały się odwrotnie, jak łatwo było by tym historykom wykazać, że zależność angielskiego charakteru powstała dzięki miażdżącym rządóm obcego despoty, Wilhelma z Normandii, i że niezależność Francuzów wynikła z istnienia wśród nich w czasach feudalnych wielu centrów niezależnej władzy, tj. szlachty, przy czym każdy szlachcic zdolny był sprzeciwiać się władzy centralnej. Zapewne było tak, iż duch niezależności był już udziałem Anglików, i dlatego stawiali opór królowi i zdolni byli zabezpieczyć swe swobody, ustanawiając instytucje kongenialne z ich naturą, instytucje i zwyczaje, które wyhodowały w każdej jednostce i w każdej generacji ducha niezależności, odziedziczonego jako cechę, nabytą przez rasę w ciągu długich wieków walk i zmagañ, zanim wypłynęli na światło historii.

Że te cechy — duch protekcji u Francuzów i duch niezależności u Anglików — są wrodzonymi cechami rasowymi, które rozwinęły się w ciągu epoki przedhistorycznej, jest udowodnione nie tylko przez niemożliwość wykazania jakichś adekwatnych przyczyn, któreby działały w epoce historycznej, lecz także przez inne fakty. Po pierwsze — przez fakt, że podobne właściwości przypisują najdawniejsi historycy pierwotnym przodkom obu narodów. Po wtóre — przez fakt, że i inne gałęzie obu plemion, z których pochodzą Anglo - Sasi i większość narodu francuskiego, wykazywały podobne, względnie właśnie te same dwie właściwości. Juliusz Cezar, Tacyt i inni dawni historycy opisali nam główne właściwości Gallów i Germanów. M. Fouillée w swej pracy *Psychologie du peuple français* zebrał wszystkie materiały dawnych historyków w tej sprawie. Widać z tego, że Germanowie i Gallowie wykazywali te same różnice, które po dziś dzień zachowują Francuzi i Anglicy, szczególnie różnice co do ducha niezależności, którego pochodzenie właśnie rozważamy. Nie mamy tu czasu rozwodzić się nad tym; wspomnimy tylko o drugim ważnym fakcie, dającym wskazówki w tym samym kierunku — mianowicie, że inne gałęzie tych obu pni rasowych wykazują te same cechy. Dość wskazać z jednej strony na Normanów, Holendrów i Skandynawów, z drugiej strony — na Włochów, Irlandczyków i t. d. ⁴⁾ Skoro zatem history-

⁴⁾ Dalszych danych o tych różnicach rasowych dostarcza nam spontaniczne usadowienie się emigrantów europejskich i ich potomków w północnej Ameryce. Anglicy,

cy nie zwrócili uwagi na te różnice, wynikające z samej przyrody, różnice, decydujące do dziś jeszcze o losach narodów — to czyż mamy zrezygnować na korzyść niewiedzy? Żadną miarą! Niechaj historycy szukają pomocy antropologii, niech rzuca nowe światło na takie i tym podobne problemy, mające przecież głęboki związek z ich zadaniami⁵⁾.

Godne uwagi, jak jedna ze szkół antropologicznych, mianowicie szkoła F. le Play'a, zaatakowała ten problem, który historycy ujęli i oświecili fałszywie, i jak szkoła ta zaszła daleko w kierunku rozwiązania problemu. Nie mamy tu czasu na omówienie jej; chcemy tylko zaznaczyć, że antropologia nie tylko zdolna jest współdziałać w rozwiązywaniu problemów historycznych, lecz także domaga się głosu decydującego w wielu palących kwestiach z zakresu kierownictwa państwem, gdzie sama historia bez pomocy antropologii nie może udzielić tak bardzo pożądanej pomocy.

Historia wykazuje, że narody i państwa w przeszłości wspinały się po woli na szczyty wzrastającej kultury i dobrobytu i jako tako trwały na pewnej wyżynie w równowadze przez kilka lat lub stuleci, potem zaś ześlizgiwały się po stromym zboczu i spadały w dół ku stagnacji lub zagładzie. Każdy opisywał parabolę lub raczej trajektorię, jak kamień rzucony ręką. Najwyższym

Szkoci i Szkoci z Irlandii byli wielkimi pionierami na nowych terenach. W pierwszych dniach imigracji europejskiej kilku Francuzów o typie Lasalla poczyniło wspaniałe podróże odkrywcze. Lecz były to jednostki, działające na rozkaz króla Francji, a mamy także powody przypuszczać, że byli to ludzie o typie nordyckim. Masa francuskich kolonistów wytrwale trzymała się wschodniej prowincji Quebec. Irlandczycy i Włosi, chociaż przeważnie z pochodzenia chłopi, znajdują się prawie wyłącznie po miastach, zajmując bardzo towarzyskie funkcje, jako to: policjantów, konduktorów autobusów i lokalnych polityków, albo też zamieszkują gęsto zaludnione regiony rolnicze. Skandynawowie, z drugiej strony, chociaż przybyli najpóźniej, osiedlili się przeważnie na wsi — i to głównie na wielkich przestrzeniach zachodnich. Daleki zachód kontrastuje wielce z wschodem i bardziej osiedlonym środkowym zachodem (gdzie jest wielu Niemców) wybitną przewagą fizycznego typu rasy nordyckiej. Jacka Londona „Dolina księżycy“ jest ciekawym studium z pierwszej ręki o skutkach odrębności rasowych w Kalifornii.

⁵⁾ Nie można bezwzględnie twierdzić, by historycy i liczni autorowie studiów o współczesnych narodach nie korzystali z rzekomych antropologicznych faktów. Wielu z nich (jak przypuszczam, nie mniej niż 50%) często podaje wyjaśnienia dla niektórych faktów w terminach rzekomych właściwości rasowych. Bieda tylko, że wymyślają *ad hoc* te właściwości, w szczęśliwej nieświadomości, że znaleźli się na polu wiedzy wysoce wyspecjalizowanej, do którego uprawy zupełnie nie są przygotowani. Czytając takich autorów, można się ubawić, zestawiając listę niesamowitych „instynktów“, które wymyślają dla wyjaśnienia opisywanych przez nich zjawisk. Kilku historyków wyraźnie uznało potrzebę, którą tu podkreślam, lecz tylko w teorii — np. Robert Flint w swej „Filozofii historii“, napisanej w r. 1893. Ileż lat upłynęło od tego czasu bez żadnego postępu w tej dziedzinie!

zadaniem mężów stanu jest czuwać nad narodami obecnego wieku, by uniknęły tego losu, by przedłużyły krzywiznę, powoli wznoszącą się, lub przynajmniej odroczyły jak można najdalej zwrot ku upadkowi. Historia dość jasno wskazuje niebezpieczeństwo. Lecz sama historia nie może nam powiedzieć, na którym punkcie krzywej stoimy. I podaje nam zbyt mało przyczyn, albo nie podaje oznak przyczyny upadku ani też środków zaradczych. Antropologia podaje teorię upadku i proponuje środki dla przeciwdziałania.

Chciałbym jeszcze w krótkości zreasumować pogląd, który coraz silniej nasuwa antropologia, w miarę gromadzenia danych i wzrostu zrozumienia. To stwierdzenie chciałbym przedstawić w formie siedmiu zwięzłych zdań.

Po pierwsze, rasy ludzkie są nierówne co do przyrodzonych zdolności. Niektóre są wyposażone lepiej od innych do ciężkiego zadania tworzenia i utrzymywania cywilizacji. To samo odnosi się przecież do jednostek, do mężczyzn i kobiet każdej rasy i narodu. Tutaj, wewnątrz tych murów, stwierdzam tę spopolitowaną już prawdę z pewną obawą, gdyż wiem, że to wielkie kolegium odznacza się szerokością ludzkich sympatii i wiem, że taka prawda jest sprzeczna z naszymi uczuciami humanitarnymi. Lecz naszą rzeczą jest patrzeć prawdzie w oczy bez trwogi.

Po drugie, tylko wyżej utalentowane rasy i narody zdolne są do rozwinięcia i utrzymania cywilizacji o wyższym poziomie.

Po trzecie, te narody lepiej wyposażone przez przyrodę zdolne są do tworzenia i utrzymywania cywilizacji na wysokim poziomie tylko wtedy, o ile każda generacja wydaje ludzi o zdolnościach ponad przeciętność, t. zn. ludzi geniuszu i talentu.

Po czwarte, te narody mogą wypełnić takie istotne warunki, które powstały przez zmieszanie kilku ras o wyższym naturalnym uposażeniu i które posiadają instytucje społeczne wolne od „kast“, w których zatem „drabina społeczna“ działa skutecznie, ułatwiając dobór talentów, a eliminację elementów niezdolnych.

Po piąte, działalność tej „drabiny społecznej“ wytwarza w szeregu generacji warstwę ludności, która jest bogatsza w naturalne zadatki i zdolności od reszty zaludnienia. W tej warstwie koncentrują się rodzime talenty ludu, a w każdej generacji wytwarza ona większą proporcję ludzi wybitniej uzdolnionych niż reszta ludności.

Po szóste, z łatwo zrozumiałych a przeważnie psychologicznych przyczyn, warstwa ta skłania się z czasem ku bezpłodności. Traci relatywnie swą liczebność i utrzymuje się przez rekrutację z dołu.

Po siódme, ten stan rzeczy, utrzymujący się przez kilka generacji, nieu-

chronnie wysysa całą ludność z najlepszych elementów, zuboża ją. W rezultacie naród staje się relatywnie bezpłodny, pozbawiony geniuszu i talentu.

Gdy naród dochodzi w swej historii do tego stadium, znajduje się w punkcie swego schyłku i jeśli nie zajdzie jakaś większa zmiana warunków społecznych, która odwróci ogólny prąd i jakoś odnowi i odświeży strugę wyższych zdolności — naród ten prędko przestaje grać kierowniczą rolę w historii, gwałtownie spada w dół, traci znaczenie lub wygasa. Jeden z naszych najświetniejszych antropologów, prof. Flinders Petrie, rozważając ten proces wzrostu i upadku narodów, określił go powiedzeniem: „rewolucje cywilizacji“. Ja poddaję pod rozważenie, że lepiej i dokładniej wyraża go nazwa: „parabola narodów“. Proces scharakteryzowany przez te słowa w historii każdego narodu układał się przeróżnie — czasem przyspieszany, czasem opóźniany przez takie czynniki, jak dopływ nowej krwi z zewnątrz, emigracja, wysysająca najlepsze elementy, podboje lub najazdy, utrata najlepszych elementów przez wojnę, lub przez kolonizację, albo przez prześladowanie klas o szczególnych, wyższych zdolnościach. Lecz czynnikiem, który, ogólnie biorąc, grał główną rolę i który był decydujący dla upadku narodów, czyli schyłku na krzywiznie paraboli, jest to, co można nazwać, w psychologicznym sensie, bezpłodnością klas kierujących. Tworzenie się tej klasy stanowi wznoszenie się krzywizny, zubożenie duchowe sprowadza kryzys, a dalsze zupełne zubożenie prowadzi do upadku. Na zakończenie pozwolę sobie zwrócić uwagę na praktyczne znaczenie poglądu, który starałem się tu przedstawić w tym krótkim odczycie, nie mając nawet czasu naszkicować bogactwa materiału, na którym się opieram.

Wiele rozważań wskazuje na prawdopodobieństwo, że naród angielski zbliża się do punktu zwrotnego paraboli, o ile go już nie osiągnął lub nawet nie przekroczył. Lecz nie dajmy się paraliżować przez frazesy i stare piły w rodzaju: „historia się powtarza“, albo: „nieuniknione starzenie się narodów“, albo inne tym podobne frazesy, w których wyraża się dogmatyczny i niefilozoficzny determinizm. Wierzmy, że nie tylko człowiek, w pewnych szerokich granicach swego życia, zdolny jest do wyboru i do zapewnienia sobie powodzenia przez najlepsze wysiłki swego rozumu i woli, lecz także, że narody są wolne i w jeszcze wyższym sensie zdolne do wyboru zamiarów i do przedłużenia nieskończonego swego pochodzenia ku coraz wyższemu celom. Nigdy przed tym narody nie zyskały jeszcze takiej wiedzy o warunkach swego powodzenia i upadku, jaką obecnie mają do dyspozycji. Ta wiedza jest nowym czynnikiem historii, który może zyskać, miejmy nadzieję, najwyższe znaczenie w przyszłej historii świata, gdyż z jej pomocą i *jedynie z jej pomocą* możemy się spodziewać, że uda się nam nieskończenie przedłużyć wzo-

szenie się krzywizny naszej paraboli i kierować naszym przeznaczeniem narodowym.

Jeśli obecni tu słuchacze są lub chcą stać się historykami, to proszę ich, by zawczasu, dopóki są młodzi, nauczyli się oceniać główne wyniki badań antropologicznych i korzystać z nich. Przestańcie, proszę, uważać antropologię za coś niższego i dziwaczego, za przedmiot nie godny uwagi szanującego się adepta klasycznego wykształcenia. Wezwijcie ją na pomoc, a wzbogaciecicie niezmiernie wasze studia historyczne. I wtedy będziecie mogli pretendować do współzawodnictwa z waszymi kolegami ekonomistami w tym, by stać się doradcami mężów stanu i wybawcami swego kraju.

STEFAN RYCHŁOWSKI

PROBLEM MELIORACJI POLESIA

(Dokończenie)

Ważnym bardzo dla Polesia skutkiem melioracji będzie udostępnienie terenów łąkowych. Lekkie zimy są zawsze dla Polesia klęską, bo niezamrażnięcie łąk i błot uniemożliwia wywóz siana, który z zabagnionych terenów tylko w zimie dotychczas może mieć miejsce. W następstwie bydło do nowej trawy głoduje i pada, pomimo skarmiania wszelkich zapasów, często nawet ziemniaków, pozostawionych do sadzenia, a nierzadko i strzechy budynków. Przykładem tego była zima roku obecnego, będącego dla Polesia takim właśnie rokiem klęski, powodującym konieczność pomocy z zewnątrz.

Zresztą i w normalnych latach jest Polesie krainą o wyraźnym niedoborze rolniczym, potrzebującym stale dowozu z zewnątrz. Brak tu jest, niestety, świeżych i pełniejszych opracowań, przykładowo przytoczyć jednak można pozycje, zaczerpnięte z pracy Piekalkiewicza i Rutkowskiego „Okręgi gospodarcze Polski“, gdzie, według danych o nadwyżkach, względnie niedoborach zbóż chlebowych według statystyki kolejowej, zestawionych dla lat 1924 — 1925, autorzy wykazują dla okręgu Poleskiego, obejmującego powiaty: Bielsk, Prużana, Kossów, Pińsk, Łuniniec, Stolin, Sarny i Kostopol, a więc prawie pokrywającego się z Polesiem geograficznym, niedobór zbóż chlebowych w roku 1924 na 16.172 tonny, a w roku 1925 na 15.696 tonn; niedobór ten w pewnym stopniu rekompensuje się nadwyżką wywozu bydła, który dla tych powiatów w roku 1925 wynosił 0,13 do 6,61 sztuk, średnie 1,8 sztuki na 100 ha ziemi użytkowanej rolniczo. W latach późniejszych niedobór ten rośnie, bo według pracy majora Śliwy „Okręgi zbożowe Polski“ niedobór zbóż chlebowych woj. Poleskiego w postaci nadwyżki przywozu nad wywozem, wynosił w roku 1928 — 33.310 tonn, w roku 1929 — 31.846 tonn, a w roku 1930 — 33.395 tonn. Wartość wwozu, gdyby wywo-

żono tylko żyto, wyniosłaby według średnich cen dla roku 1928 z górą 14.400.000 zł. (licząc 1 q po 41 zł.) dla roku 1929 ponad 8.900.000 zł. (po 28 zł.) i dla roku 1930 około 5.700.000 zł. (po 17 zł.). Wywóz z Polesia zwierząt gospodarskich (netto) ujęto w załączonym zestawieniu (tablica Nr. 8),

Z materiałów G. U. S.

Tablica Nr. 8.

WOJEWÓDZTWO POLESKIE — WYWÓZ
(NETTO) BYDŁA ROGATEGO, TRZODY
CHLEWNEJ I OWIEC

	Wywóz na 100 ha powierzchni użytkowej		
	1929 r.	1930 r.	1931 r.
Bydło rogate	0,93	0,81	0,66
Cieleta	0,03	0,16	0,03
Trzoda chlewna	1,78	1,45	2,03
Owce	—	—	—

które uwypukla, że wywóz ten jest jednak zbyt mały w stosunku do możliwości produkcyjnych Polesia.

Wydajność gleb poleskich jest znacznie niższa, niż wydajność w innych województwach, jak świadczą dane o plonach, obliczone za 10-lecie 1926 — 1935 przykładowo dla szeregu województw (tablica Nr. 9). Plony te są niż-

Z materiałów G. U. S.

Tablica Nr. 9.

ZBIORY W LATACH 1926 — 1935
(przeciętne dla 10-lecia)

WOJEWÓDZTWA	Pszenica	Żyto	Jęczmień	Owies	Ziemniaki
Poleskie	9,02	9,2	8,58	8,75	90
Warszawskie	13,64	12,23	14,96	14,13	115,9
Łódzkie	14,57	12,92	14,59	15,38	132,7
Kieleckie	13,09	11,75	12,97	14,11	122
Lubelskie	12,48	11,69	13,61	13,48	132
Białostockie	11,12	10,37	10,41	10,21	109,9
Wileńskie	8,17	7,18	7,48	7, 2	87,6
Nowogródzkie	9,87	7,17	10,41	9,25	110,9
Wołyńskie	10,93	10,15	12, 1	10,79	97,5

sze niż w wojew.: Warszawskim, Łódzkim, Kieleckim, Lubelskim, Białostockim, Wołyńskim i Nowogródzkim. Tylko woj. Wileńskie miało w tym okresie niższe plony żyta i pszenicy, wyższe natomiast jęczmienia, owsa i ziemniaków. (Nadmienić muszę, że dane liczbowe statystyki naszej, obrazujące wydajność poszczególnych zbóż, a w szczególności żyta, na Polesiu uważam za zbyt wygórowane). Niższa wydajność świadczy nie tylko o niż-

szości kultury rolniczej, ale i słabszych glebach, co zresztą udowadniają rezultaty badań gleboznawczych, które ujawniły, że 44% całości obszaru Polesia, a z górą 71% wszystkich gleb mineralnych Polesia zajmują gleby piaszczyste. Gleby poleskie zatem — to słabe ziemie żytnio-kartoflane, co zresztą wynika i z zestawienia stosunku poszczególnych zasiewów do ogólnej powierzchni obsianej, zestawione dla roku 1935 (tablica Nr. 10). Prawie poło-

Z materiałów G. U. S. r. 1935.

Tablica Nr. 10.

POWIERZCHNIA ZASIEWÓW W % OGÓLNEJ POWIERZCHNI ZASIANEJ

Województwo	Pszenica		Żyto		Jęczmień		Owies		Ziemniaki		Ogólna powierzchnia zasiewów w ha
	ha	%	ha	%	ha	%	ha	%	ha	%	
Poleskie	24187	3,82	280842	44,46	36527	5,78	88019	13,93	132537	20,95	631639
Warszawskie	145550	9,33	742790	47,64	85096	5,34	145217	9,30	284567	11,26	1559131
Łódzkie	62381	6,14	529351	52,17	28208	2,78	103669	10,21	209285	20,63	1014422
Kieleckie	126842	9,91	518095	40,49	113664	8,88	172007	13,41	265654	21,55	1279506
Lubelskie	210918	14,29	517250	34,74	119948	8,05	221456	14,87	264927	17,61	1488567
Białostockie	74535	6,44	460872	41,59	63678	5,50	189728	16,41	192821	16,67	1156034
Wileńskie	23734	2,17	300311	27,55	60545	5,55	13904	12,75	106144	9,37	1089860
Nowogródzkie	24552	3,55	274614	39,53	64288	9,23	123665	17,79	112960	16,26	694663
Wołyńskie	241532	12,52	389711	20,13	137544	7,10	202109	10,44	170364	8,81	1935333

wę całej przestrzeni obsianej przypada na żyto, z górą 1/5 na ziemniaki, a oba te ziemiopłody łącznie zajmują 65,41% całej przestrzeni obsianej, podczas gdy w woj. warszawskim odsetek ten wynosi 58,9%, w kieleckim 62,04%, lubelskim 52,35%, białostockim 58,26%, wileńskim 36,92%, nowogródzkim 55,79%, wołyńskim 28,94% i tylko w woj. łódzkim więcej, bo 72,8%. Procent obsiewu pszenicy jest niższy niż w woj. poleskim tylko w województwach wileńskim i nowogródzkim, poza tym w innych województwach centralnych i wschodnich znacznie wyższy.

Ujęte powyżej ogólne warunki gospodarcze na Polesiu, w związku z dużym stosunkowo rozdrobnieniem gruntów (tablica Nr. 3) (gospodarstw do 10 ha jest na terenie woj. poleskiego 82,2%, a do 5 ha — 47,9%) i brakiem ziemi ornej (tablica Nr. 4) (przeciętny % ziemi ornej w gospodarstwach drobnych wynosi 48,3) — powodują, że ludność rolnicza Polesia powiększa swój areal ziemi ornej, wrębuąc się w lasy. Piaszczyste ubogie ziemie z pod lasu, nie dostatecznie w dodatku nawożone, bardzo szybko zamieniają się w jałowe piaski, lub nawet wydmy. Według danych urzędów ochrony lasów w ciągu ostatnich lat 14-tu t. j. od roku 1922 do 1935 włącznie obszar lasów prywatnych w woj. poleskim zmniejszył się o 220.124 ha (tablica Nr. 11), w czym 67.805 ha w związku z parcelacją. Przybytek gruntu leśnego, w skutek zalesienia gruntów nieleśnych, w tym samym czasie wyniósł zaledwie 2.960 ha (tablica Nr. 12).

Tablica Nr. 11.
WOJEWÓDZTWO POLESKIE — STATYSTYKA UBYTKU
GRUNTU LEŚNEGO

R o k	Ubytek ha w związku:			Razem ha
	z parcela- cją	z likwidacją służebności i komasacją	z innych względów	
1922				2.598,00
1923	3.981,61	2.653,84	951,23	7.586,68
1924	2.656,50	558,90	853,00	4.068,00
1925	12.032,50	3.484,56	2.873,42	18.390,48
1926	11.097,48	7.077,76	1.594,50	19.769,74
1927	12.268,51	15.985,47	12.967,48	41.221,46
1928	4.883,14	25.470,51	4.815,95	35.169,60
1929	7.766,51	14.250,01	6.784,23	28.800,75
1930	3.408,91	21.035,42	3.371,19	27.815,52
1931	3.904,69	7.002,31	962,27	11.869,27
1932	3.707,58	2.159,56	1.192,74	7.059,88
1933	944,—	2.442,—	1.783,—	5.169,—
1934	360,—	4.018,—	267,—	4.645,—
1935	794,—	4.329,—	3.436,—	8.559,—
Razem	67.805,43	110.466,94	41.852,01	220.124,38

Melioracja, podnosząc produktywność podmokłych gleb mineralnych i umożliwiając wydatne powiększenie ilości gruntów ornych kosztem dotychczasowych bagien i nieużytków (w pierwszym rzędzie kosztem gleb mułowych, mułowo - torfowych i torfowo - mineralnych, których na Polesiu jest łącznie 434.617 ha oraz podmokłych gruntów mineralnych z związkami torfowisk nizinnych, których obszar prof. Kulczyński oblicza na 392.000 ha) — jest w możności pęd do wylesiania wydatnie zmniejszyć i uchronić lasy poleskie od dalszego zmniejszania ich obszaru.

Zjawisko to bardzo wyraźnie podkreślił jeden z wybitnych znawców Polesia — prof. Kulczyński, który w pracy swej „Park narodowy na Polesiu i jego stosunek do planu melioracji“, charakteryzując stosunki poleskie pisze: „Puszcza poleska padła zatem ofiarą zapotrzebowania ziemi ornej. Nie należy się łudzić, że trzebież lasów, dokonana ostatnio, załatwiła raz na zawsze potrzeby rolno-gospodarcze miliona ludzi, zamieszkujących Polesie. Za lat kilka, czy kilkanaście wypłynie ona znowu, jeżeli nie jako rezultat przyrostu ludności, to jako następstwo deterioracji, wydartych dzisiaj lasom ziem ornych, które w mniejszym, czy większym stopniu padną ofiarą wydm. Gospodarka rolna na Polesiu idzie dzisiaj w najmniej racjonalnym kierunku trzebieży puszczy, zamiast, oszczędzając lasy i powiększając stan zalesienia wydm, kierować ludność na torfowiska i bagna“.

Zresztą i lasy poleskie nie przedstawiają się dobrze. Składa się na to wiele przyczyn, ale jedną z nich jest bez wątpienia zabagnienie. Na ogólną przestrzeń 1.850.230 ha lasów na Polesiu geograficznym — 1.050.000 ha wymaga melioracji. Według zdania Instytutu Badawczego Lasów Państwowych, melioracja spowodowałaby przesunięcie drzewostanów, zaliczanych do piątej klasy bonitacji (przy stuletniej kolei rębności) conajmniej o jedną klasę wzwyż, dając różnicę przyrostu przynajmniej o $1,5 \text{ m}^3$ z ha.

Tablica Nr. 12.

WOJEWÓDZTWO POLESKIE — PRZYBY-
TEK GRUNTU LEŚNEGO, WSKUTEK ZA-
LESZENIA GRUNTÓW NIELEŚNYCH

L a t a	Przybytek w ha
1919—1922	—
1923	—
1924	—
1925	85 ha
1926	27 „
1927	46 „
1928	119 „
1929	201 „
1930	329 „
1931	359 „
1932	178 „
1933	779 „
1934	254 „
1935	583 „
	Razem 2.960 ha

Przyjmując więc wszystkie drzewostany wymagające melioracji za klasę 5, przyrost roczny wzrósłby o $1.575.000 \text{ m}^3$ rocznie, co licząc cenę 1 m^3 drzewa w stanie surowym loco las tylko na zł. 8, wyniosłoby 12.600.000 złotych. Kwota zysku będzie jednak w gruncie rzeczy nawet wyższa, gdyż melioracja nie tylko podnosi przyrost, ale poprawia ustosunkowanie ilości drzewa materiałowego do opałowego, co oczywiście nie pozostanie bez skutku na kształtowanie się przeciętnej ceny. Ponadto, co również nie da się obliczyć, melioracja i przez udostępnienie terenu i przez danie możliwości spławu drzewa — polepsza warunki komunikacyjne i przez to poważnie ułatwia zbyt. Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę możliwość powiększenia powierzchni leśnej, przez zalesienie bagien, nie nadających się do użytkowania rolniczego (a powierzchnia ich na Polesiu wynosi łącznie około 300.000 ha), jeśli dodamy usunięcie zgubnego wpływu bagien na drzewostany na sąsiednich gruntach mineralnych — to kwoty zysku wzrosną jeszcze wydatnie.

Według danych statystyki rolniczej z roku 1935 wydajność siana w woj. poleskim wyniosła przeciętnie 18,1 q z 1 ha łąk nizinnych, wydajność zaś z 1 ha łąk meliorowanych — 29,8 q, a zatem, nie biorąc zupełnie w obliczeniu pod uwagę różnicy w jakości siana, — melioracja podniosła zbiór siana o 11,7 q z 1 ha, to jest, licząc siano choćby tylko po 4 zł. za 1 q, o 46,8 zł. z 1 ha. Biorąc pod uwagę, że te same materiały statystyczne podają ilość łąk nizinnych na terenie woj. poleskiego na 622.499 ha, — wzrost wydajności wyniosłby z górą 29 milionów zł. rocznie (oczywiście po zagospodarowaniu łąk), i to z pominięciem jakości siana, możliwości osiągnięcia jeszcze wyższych zbiorów i możliwości powiększenia przestrzeni łąkowych kosztem dzisiejszych nieużytków. To wszystko nie wyczerpuje bynajmniej korzyści, jakie dać może melioracja Polesia. Liczby przytoczone dotyczą w większości tylko terenu woj. poleskiego, a powiększyłyby się wydatnie przy wzięciu do obrachunku całej powierzchni Polesia geograficznego.

Mówiąc o korzyściach, jakie melioracja przynieść może, nie wyczerpałem, rzecz prosta, tematu; — szereg ważnych dziedzin gospodarczych zostało tu pominiętych, jako b. trudnych, wręcz niemożliwych do obliczenia, bądź dających czysto teoretyczne obliczenia. Poruszyłem tylko korzyści najbardziej uchwytne, najbardziej rzucające się w oczy.

Dotychczasowe prace przy opracowywaniu projektu melioracji Polesia szły w kierunku t. zw. planu generalnego. To też plan ten, zresztą nie ukończony, siłą rzeczy ma charakter schematyczny — kosztorysowy, bez studiów i zdjęć szczegółowych i nie nadaje się wobec tego bezpośrednio do wykonania, daje, tym nie mniej, dużą stosunkowo ilość materiału technicznego, obrazującego układ terenowy Polesia, t. j. ujmując w sposób wystarczający ogólne dane niwelacyjne i spadki terenu, umożliwia wyodrębnienie z całości Polesia poszczególnych rejonów, różniących się zresztą i co do jakości rolniczej i co do możliwości rozwojowych w zależności od gleb przeważających, typu torfowisk i innych przestrzeni bagiennych. Tę stronę zagadnienia, t. j. podział na rejony techniczne—opracował w ramach całości prac b. Biura Projektu Melioracji Polesia inż. Sobolewski w pracy „Pomiary inżynierskie i ich wyniki oraz znaczenie dla zagospodarowania Polesia“. Opracowanie inż. Sobolewskiego posłużyło mi jako podstawa do ujęcia tej części zagadnienia. Zakończone już obecnie mapy gleboznawcze i torfowe pozwoliły mi do części opisowych wprowadzić szereg uzupełnień i korekt, niestety, wobec niepokrywania się tych, że tak powiem, rejonów technicznych z okręgami statystycznymi — jednostkami administracyjnymi, nie mam w tej chwili możliwości dać pełnej ich charakterystyki, popartej szeregiem danych cyfrowych.

Badaniami technicznymi objęto ogółem około 5.800.000 ha, leżących

w dorzeczu Prypeci, częściowo Bugu i Szczary. Długość rzeki kanałów na tym obszarze ustalono w przybliżeniu na 12.000 km. Większa część Polesia leży w dorzeczu Prypeci i posiada ogólne pochylenie podłużne z zachodu na wschód i poprzeczne spadki z północy i południa ku Prypeci. Spadek podłużny z zachodu na wschód jest mniej więcej równomierny, natomiast spadki poprzeczne wykazują dość dużą zmienność, załamując się niejednokrotnie i tworząc jakby tarasy. Rzeki poleskie — dopływy Prypeci, po przejściu przez te tarasy, tracą znacznie na spadku, na skutek czego nie mogą odprowadzić w okresie wielkich wód wiosennych wszystkich wód, napływających z góry. Ponieważ w dodatku spadki poprzeczne przestrzeni leżących w międzyrzeczach ku tym rzekom są małe, wody stagnują i zabagniają tereny. Cały zatem układ Polesia, krainy bez wyraźnie zarysowanych dolin rzecznych, o ściekach o dość małym i zmiennym spadku, a o wielkiej retencji terenu jest głównym powodem zabagnienia Polesia. Błota górnego biegu dopływów Bugu i błota Szczary łączą się z bagnami dorzecza Prypeci, tworząc z nimi jedną całość i, w całym szeregu wypadków, trudno jest ustalić linie wododziałowe, tak że nawet zasadniczo często nie nasuwałyby się trudności w skierowaniu górnych partii wód jednego dorzecza do drugiego.

Biorąc pod uwagę dane niwelacyjne terenu, a co za tem idzie i warunki odwodnienia, możnaby podzielić Polesie na 4 rejony.

1) W południowo-wschodniej części Polesia, zajmując tak zw. Zahorynie, na międzyrzeczu Lwy i Stwihi, sięgając ku północy do Mostwy, a na południe prawie do linii kolejowej Sarny — Ostki, leżą obszerne połacie o przewadze gorszych torfów przejściowych, nie nadających się do użytkowania rolniczego, i lekkich gleb piaszczystych. Obszar ten, w znacznej części pokryty lasami, należy przeważnie do niewielkiej liczby większych majątków ziemskich, przede wszystkim zaś do Ordynacji Dawidgródeckiej. Prz dzielony od niego rzeką Horyń i pasmem t. zw. Przyhorynia, leży na zachód od tego rejonu drugi kompleks o przewadze gorszych torfów, tym razem torfowisk wysokich — wielkie błoto „Moroczno“ z odgałęzieniami, leżące na międzyrzeczu Styru i Horynia. Ogółem oba te wielkie kompleksy zajmują obszar około 400.000 ha, t. j. około 7% całości Polesia. Rzecz jasna, że i w jednym i w drugim kompleksie są większe i mniejsze zasięgi torfów lepszych (niskich i lepszych przejściowych), to też, choć w całości tereny te możnaby uznać za nie nadające się do melioracji, to jednak w wielu miejscach melioracje lokalne, na większą nawet skalę, mogą dać zupełnie dobre rezultaty rolnicze. Oczywiście nie mogłyby się one obejść bez uporządkowania i regulacji podstawowych cieków wodnych dla umożliwienia odpływu wody. Melioracje gorszych torfów, nie rokując nadziei na umożliwienie rolniczego ich wykorzystania, mogą, tym nie mniej, przyczynić się w znacznej mierze

do zwiększenia wzrostu drzewostanów na terenach zabagnionych i poprawy ich jakości, względnie umożliwią zalesienie tych przestrzeni, które obecnie bądź tylko z nazwy są leśnymi, bądź stanowią czyste bezużyteczne błota.

2) Od wschodniej granicy państwa — wzdłuż Prypeci aż do jeziora Lubiaż, zajmując dolinę Prypeci i dolnego biegu jej dopływów, ciągnie się pas położony najniżej. Tereny te, przy obecnym stanie Prypeci i jej odpływu nie dadzą się zmeliorować bez uregulowania Prypeci i, zwłaszcza we wschodniej części, bez zapewnienia należytego odpływu jej wód poza granice państwa, względnie bez budowy polderów, lub budowy kosztownych zbiorników retencyjnych, w którychby można magazynować wielkie wody wiosenne i następnie regulować ich przepływ tak, by nie powodować zalewu. Zauważyć jednak należy, że w warunkach poleskich budowa zbiorników nawiązywałaby wielkie trudności z powodu przepuszczalności gleb na brzegach i wynikającej z ukształtowania terenu płytkości zbiorników. Melioracje tego terenu byłyby zatem i bardzo trudne i bardzo kosztowne, lecz i na nim mogą być wykonywane prace, ułatwiające spływ wielkich wód wiosennych, które, nie rozwiązując całkowicie zagadnienia, mogą zmniejszyć czas trwania zalewu, a tym samym przyczynić się do poprawy warunków i zmniejszyć, zwłaszcza na peryferiach tego rejonu, ilość dotychczasowych nieużytków. Gleby tego terenu — to przeważnie bardzo silnie zabagnione mady, gleby mułowe i mułowo-torfowe oraz najlepsze torfy, bogate w składniki pokarmowe i mogące dać po melioracji najbogatsze w przyszłości na Polesiu okolicie. Zaludnienie bardzo słabe, osiedla rozrzucone na stosunkowo nielicznych, ku zachodowi liczniejszych, suchszych wyspach i wysepkach piaszczystych, lub położone na peryferii — na wyższych brzegach doliny. Przeważna część terenu zabagnionego należy do drobnej własności, choć są tu i większe majątki ziemskie. Cały ten rejon obejmuje około 290.000 ha, t. j. mniej więcej 5% obszaru Polesia.

3) Tereny przyległe do sztucznych dróg wodnych, przeważnie szczytowych ich stanowisk, t. j. do Kanału Królewskiego i Kanału Ogińskiego. Przy Kanale Królewskim tereny te zajmują południowo-wschodnią część powiatu kobryńskiego, sięgają na północy aż na północ od linii kolejowej Brześć — Pińsk, na południe do jeziora Orzechowskiego, dochodzą na zachodzie do miasteczka Dywin, a na wschodzie do kanału Białojezierskiego. Jest to przeważnie t. zw. błoto „Dubowoje“. W rejonie kanału Ogińskiego tereny te obejmują okolice jeziora Wygonowskiego, część dorzecza Szczary, oraz okolice południowej części kanału od Telechan wraz z częścią doliny Jasiołdy. Spadki na tych terenach są przeważnie małe (poniżej 0,15‰), a niskie ich położenie i potrzeby dróg wodnych, wymagające utrzymywania jak najwyższego poziomu wody, powodują niemożność melioracji bez gruntownej i da-

leko idącej przebudowy tych dróg wodnych, któraby umożliwiała odpływ z kanałów odwadniających, a tym samym ogólne obniżenie poziomu wód gruntowych. Gleby tego rejonu — to przeważnie torfowiska nizinne, nadające się po melioracji do użytkowania rolniczego (z wyjątkiem torfów koło jeziora Wygonowskiego). W rejonie szczytowego stanowiska Kanału Królewskiego — na błocie Dubowoje na głębszym torfowisku rozrzucone są liczne, przeważnie piaszczyste, wysepki i płytsze zatorfienia.

Gęstość zaludnienia i tu jest niska; błota Dubowoje należą przeważnie do włościan, nad Kanałem Ogińskiego przeważnie do większej własności prywatnej, częściowo do Skarbu Państwa. Tereny, przynależne do tej grupy, obejmują około 160.000 ha, t. j. około 3% całego obszaru Polesia.

4) Wreszcie czwarta i ostatnia grupa — to pozostałość, a więc łącznie około 85% powierzchni Polesia (około 4.950.000 ha). Grupę tę możnaby podzielić na dwie części. Jedna — to część Polesia o przewadze gruntów ornych, bardziej gęstym zaludnieniu bezwzględnym, o spadkach terenu powyżej 0,4⁰/₀₀ i druga o nieco mniejszych, lecz wystarczających spadkach (powyżej 0,15⁰/₀₀), większym zabagnieniu, dużym zaludnieniu względnym i większym zapasie ziemi, bądź to w postaci gruntów państwowych, bądź większych majątków prywatnych. Tereny grupy tej posiadają naogół dostateczne spadki i melioracja ich jest najzupełniej możliwa bez regulacji dolnych partii Prypeci, choć zawsze wymagać będzie uporządkowania, czy regulacji większych lub mniejszych cieków wodnych. Ukształtowanie terenu i układ spadku umożliwia prowadzenie melioracji rejonami — zlewniami poszczególnych rzek, lub grupami zlewni, a w tej liczbie i Prypeci powyżej jeziora Lubiaż, a więc bez rozstrzygnięcia tak trudnego zagadnienia, jak kwestia pojemności Prypeci i możliwości jej odpływu.

Przeprowadzona na podstawie próbnych kosztorysów kalkulacja przypuszczalnych kosztów melioracji dała następujące wyniki. Tereny grupy pierwszej, nieprzydatnej na ogół do użytkowania rolniczego, zasadniczo wyłącza się z obliczenia, nie wyklucza to jednak, że możliwym tam będzie przeprowadzenie melioracji i regulacji lokalnych, względnie melioracji przetrzeni leśnych, które z natury rzeczy mieć mogą bardziej ekstensywny charakter.

Całkowity koszt melioracji terenów drugiej grupy, bezpośrednio uzależnionych od Prypeci, systemem polderów (a więc niezależniąc się od niej) — wynosić będzie wraz z melioracją szczegółową po zł. 280 na ha. Z uwagi na przyrodzone bogactwa tego terenu, w postaci bardzo zasobnych gleb mułowych i mułowo-torfowych, oraz najzasobniejszych torfów nizinnych — nakładu tego, aczkolwiek b. dużego — nie możnaby uznać za wygórowany.

W grupie trzeciej (terenów związanych ze sztucznymi drogami wodnymi) — obliczono całokształt robót ziemnych na 60 — 90 m³ wykopu, średnio zatem 75 m³ wykopu na 1 ha (z uwagi na konieczność przebudowy tych dróg). Licząc 1 m³ wykopu po gr. 70, otrzymamy wydatek 52 zł. 50 gr. na 1 ha na roboty ziemne.

Melioracja szczegółowa, przyjmując 100-metrową rozstawę rowów, średnią głębokość 1,20 m, szerokość w dnie 30 cm i nachylenie skarp 1 : 1 wymagać będzie średnio około 180 m³ na 1 ha, a koszt jej, licząc po 30 groszy 1 m³ wykopu — 54 zł. Łącznie zatem 106 zł. 50 gr. na 1 ha. Przyjmując, że do kosztów robót ziemnych doszłoby około 30% innych kosztów (budowle, drogi, nadzór itp.) — całość kosztów melioracji terenów tej grupy wyniosłaby około 152 zł. na 1 ha.

Grupa czwarta kalkulowałaby się jeszcze taniej. Melioracje podstawowe na terenach do niej zaliczonych wymagałyby zaledwie 15 — 30 m³ wykopu, przeważnie jednak około 20 m³, a zatem ich koszt wyniosłby (licząc tym razem po 50 gr. za 1 m³) — tylko 10 zł. na 1 ha, a roboty ziemne melioracji podstawowych i szczegółowych łącznie 64 zł. Łącznie zaś z innymi kosztami — około 93 zł. na 1 ha.

Rzeczywiste — gotówkowe koszty wyniosłoby znacznie mniej wobec możliwości wykorzystania robocizny bezpłatnej, bądź to w formie szarwaraku, bądź w formie udziału w pracy właścicieli gruntów meliorowanych. Zagospodarowanie 1 ha łąki na terenie województw wschodnich kalkuluje się obecnie w kwocie około 130 zł. na 1 ha. Wydatek z tego tytułu nie byłby jednak wydatkiem, który by wymagał konieczności jednorazowego asygnowania większych kwot. Zagospodarowanie terenów łąkowych i mogłoby i musiałoby iść stopniowo, zaczynając od mniejszych przestrzeni w każdym gospodarstwie, a dalszy jego postęp dokonywany byłby ze zwiększonych dochodów gospodarstwa — własnymi jego siłami. W miarę rozwoju akcji — niewątpliwie zmniejszyłyby się i koszty.

Z kolei zastanowić się należy nad właściwym kierunkiem, jaki pracom nadać by należało. Plan generalny, z natury rzeczy, może ująć tylko melioracje najbardziej podstawowe, które same przez się są tylko pierwszym etapem akcji melioracyjnej, etapem koniecznym, jednak nie dającym jeszcze warunków do zagospodarowania terenu, jeśli chodzi o torfowiska, względnie często nie wystarczającym dla wydatniejszego podniesienia produktywności gruntów mineralnych. Wykonanie zatem na gruncie na całym Polesiu tylko melioracji podstawowych, pociągając za sobą bardzo wielkie koszty, nie mogłoby dać tych korzyści, jakie melioracja dać może, nie dałoby dostatecznego, poza dostępem do terenu, efektu gospodarczego, a nawet, nie umożliwiając zagospodarowania, pociągnąć by mogło nawet zniżkę zbio-

rów z łąk. Konieczność przeprowadzenia, w ślad za podstawową, i melioracji szczegółowej na obszarze całego Polesia wymagałaby znów nowych wielkich nakładów na same prace techniczne, nie mówiąc już o wydatkach na zagospodarowanie. Z natury więc rzeczy prace należałoby prowadzić stopniowo.

Cbarakterystyczna dla każdego planu generalnego ogólnikowość i schematyczność cechuje również i te fragmenty planu, jakie opracowało b. Biuro Projektu Melioracji Polesia. Zresztą opracowania te szły wyłącznie w kierunku osuszenia, podczas gdy zadaniem melioracji musi być właściwa gospodarka wodna, a więc i nawadnianie, tak konieczne dla gruntów torfowych. Ponadto przy melioracji muszą być uwzględnione i potrzeby dróg wodnych. Opracowania techniczne b. Biura, postawione zresztą w płaszczyźnie generalności, a więc bardzo ogólne — wyprzedziły nawet znacznie prace naukowo-badawcze (gleboznawcze, torfoznawcze, geologiczne, ekologiczne i inne), które dopiero teraz zostały zakończone, względnie są na ukończeniu, a zatem mogą być traktowane tylko jako próba naszkicowania wytycznych technicznych, na skutek czego nie nadają się do wykonania bez dalszych szczegółowych zdjęć i badań terenowych i opracowania szczegółowych projektów wykonawczych dla poszczególnych cieków i ich dorzeczy.

Biorąc pod uwagę wszystkie te względy i opierając się na stwierdzonym fakcie, że większa część Polesia da się zmeliorować bez istotnego naruszania głównego odpływu Polesia — Prypeci, a przynajmniej dolnych jej partyj, że w ten sposób dorzecze każdej prawie z rzek poleskich może być w pewnych granicach traktowane, jako osobna całość, wydaje się słusznym by, nie rozprzestrzeniając się na cały obszar Polesia, przystąpić do wszechstronnego opracowywania poszczególnych rejonów i, przeprowadziwszy niezbędne uzupełnienia studiów terenowych, opracowywać stopniowo szczegółowe projekty melioracji podstawowych, a tam, gdzie będzie zachodzić potrzeba — i szczegółowych, stwarzając w ten sposób realne podstawy do prac wykonawczych. Takie stopniowe wykonywanie melioracji nie tylko da korzyści gospodarcze, ale i z pewnością znacznie łatwiej da się pomieścić w naszych możliwościach finansowych.

Istnieje obawa, że melioracja przesuszy zbyt Polesie, obniżając ogólny poziom wód gruntowych. Obawa ta w stosunku do gruntów mineralnych została najzupełniej wyjaśniona przez badania gleboznawcze i torfowe. Obszerniej to zagadnienie omówiłem już zresztą w pierwszej części mego referatu.

Co do gruntów torfowych, dla których nawadnianie po osuszeniu będzie konieczne, to jest rzeczą techniki, by systemem śluz, zastawek i doprowadzalników zabezpieczyć możliwość nawodnień, co nie będzie rzeczą

bardzo trudną, tym bardziej, że ilość opadów nie jest na Polesiu bardzo mała (przeważnie od 500 — 650 mm), a powiększona przestrzeń leśna (zalesienie nieużytków piaszczystych i bezużytecznych dotychczas błot wyżynnych), wskutek zwiększonego parowania, nie pozostanie bez wpływu na zwiększenie opadów. Prof. Szymkiewicz, prowadząc badania ekologiczne na Polesiu, dowiódł, że łąka kulturalna na torfowisku wyparowywuje przeciętnie o 25% więcej wody od torfowiska dzikiego, co z kolei również odbije się na opadach. Obawy przesuszenia opierają się przeważnie na obserwacjach stanu, w jakim znajdują się po osuszeniu, a przed zagospodarowaniem, błota torfowe. Istotnie, dotychczasowa roślinność zanika, gdyż potrzebuje więcej wilgoci od traw kulturalnych. Zagospodarowanie wprowadza roślinność nową — trawy słodkie, dla których ilość wilgoci jest przeważnie wystarczająca zwłaszcza przy zastosowaniu urządzeń nawadniających.

Drugi z kolei zarzut, stawiany melioracji Polesia, dotyczy roli błot w kształtowaniu odpływu rzek poleskich. Błota uważane są za zbiorniki, które, nasyciwszy się wielkimi wodami wiosennymi, stopniowo oddają te zapasy rzekom w ciągu całego lata, podtrzymując w ten sposób poziom ich wód i ułatwiając spławność, lub żeglowność, melioracja zaś, według tego poglądu, przyspieszając spływ wielkich wód, pozbawia następnie rzeki możliwości korzystania z tego zapasu. Pogląd ten nie wydaje się słuszny. Jeden z najwybitniejszych znawców Polesia, badacz rosyjski Oppokow, obalił go najzupełniej. Torfy posiadają typową gąbczastą strukturę — ogromną pojemność w stosunku do wody, a wskutek silnej włoskowatości i minimalnej przepuszczalności, szczególnie w kierunku poziomym — bardzo trudno oddają wodę i tracąc ją jedynie wskutek parowania, rzekom dać mogą tylko wody powierzchniowe. Jednym słowem, zachowują się zupełnie tak, jak nasycona wodą gąbka, która wyparuje wszystką wodę, a nie odda nic do naczynia, w którym ją ulokowano. Te właściwości torfu sprawiają, że pochłaniają one i te wody powierzchniowe, a często i gruntowe, które spływają z sąsiednich gruntów mineralnych i, nie oddając ich ciekom wodnym, wyparowywują całkowicie.

Melioracje, przeprowadzając na torfowisku szereg kanałów, przyspieszają istotnie spływ wielkich wód wiosennych i, z tego względu, przy wielkich terenach zmeliorowanych, wysokość fali wielkich wód będzie nieco większa, natomiast w ciągu okresu letniego kanały i rowy odwadniające ułatwiają jedynie odpływ wód opadowych do rzek, a zatem nie tylko nie pogorszą ich warunków wodnych, ale nawet mogą je polepszyć. Badania rzek poleskich w istocie potwierdziły takie stanowisko, wykazując, że pomimo istnienia wielkich obszarów bagiennych, stan wody w rzekach w okresie letnim jest bardzo niski. Badania te wykazały równocześnie ogromną dys-

proporcję między wysokościami opadów rocznych a wysokością rocznego odpływu, a więc nie współmiernie wielkie straty na parowanie.

Reasumując swoje wywody stwierdzić muszę: 1) że melioracja Polesia jest dla samego Polesia koniecznością życiową; 2) że dać ona może ogromne korzyści gospodarcze; 3) że, aczkolwiek korzystna, nie będzie ona mogła dać tych korzyści, jakie utrwaliły się w świadomości ogółu w postaci przeświadczenia o wielkiej, czasem aż legendarnej pojemności kolonizacji rolnej Polesia; 4) że przeprowadzenie melioracji Polesia bynajmniej nie wymaga wielkich planów generalnych, obejmujących całość Polesia geograficznego, a w rzeczywistości nie będących projektami, nadającymi się do wykonania na gruncie; 5) że melioracja tu może i powinna być prowadzona stopniowo — drogą przygotowywania i wykonywania na gruncie szczegółowych projektów poszczególnych rejonów, obejmujących jedną lub więcej zlewni, opracowanych dokładnie zarówno pod względem technicznym, jak i gospodarczo-rolniczym.

DON PEDRO CALDERON DE LA BARCA

ŻYCIE SNEM

(LA VIDA ES SUENO)

DRAMAT W TRZECH AKTACH *)

... „Quanto piace al mondo è breve sogno“.

(*Petrarca* — Son. I).

OSOBY: Bazyli I — król Polski; Zygmunt — następca tronu; Astolf — książę Moskwy; Klotald — stary sługa królewski; Klaryn — sługa Rosaury; Estrella — infantka; Rosaura — dama dworu. Żołnierze, straż przyboczna, muzykanci, świta, sługi, damy dworu.

A K T I

Po jednej stronie sceny wysoka góra — po drugiej wieża służąca za więzienie Zygmun-towi. Drzwi do więzienia, naprzeciw widza, stoją uchylone. Akcja zaczyna się o zmroku.

SCENA I

Rosaura schodzi z gór w męskim przebraniu. Za nią zdąża Klaryn.

ROSAURA Hipogryfie szalony,
Bracie wichrów, mknących w świata strony!
Dokąd, ptaku bepióry,
Rybo bez łuski, ogniu bez purpury,
Dokąd, obmierzłe zwierzę,
Co w mrocznym labiryncie masz swe leże,
Wśród nagiej pustyni skalnej,
Gnasz rozpętany, dziki i nawalny?
Pozostań, gdzie gór korona,
Gdzie każdy zwierz zna swego Faetona,
Ja bowiem, nie widząc drogi,
Prócz ukazanej mi przez los mój nadto srogi,

*) Wspaniały dramat „Życie snem“, którego druk rozpoczynamy w numerze niniejszym, zostanie opublikowany w całości w kolejnych numerach „Drogi“, w przekładzie z hiszpańskiego Edwarda Boyé, wraz ze studium tłumacza o teatrze hiszpańskim. „Życie snem“ wystawi Teatr Wielki we Lwowie w sezonie bieżącym.

Runę z skalnego urwiska,
 Co słońcu zda się już zagrażać zbliśka!
 ... Jak niegościnnie, jak wrogo
 Przyjmujesz, Polsko, obcych, którzy na piaskach twych mogą
 Krwią stóp oznajmić przybycie,
 Idąc w udręce i bólu, gdzie nowe ich czeka rozbicie!
 Ach, los mi szepce złowróźnie,
 Że prośba nieszczęsnych o litość zawsze zapada w próżnię!

KLARYN Dwaj tu jesteśmy... więc trzeba
 I o mnie także pamiętać, gdy skargą chcesz wzruszyć nieba.
 We dwóch ważyliśmy się przecie
 Na porzucenie ojczyzny, na tę włóczęgę po świecie,
 By przygód i wiatru w polu
 Szukać wśród nieszczęść i bólu.
 We dwóch, w tej polskiej dzierżawie,
 Spadliśmy na łeb ze szczytu, umarli, nieżywi prawie;
 Czyż zatem to słuszny rachunek
 Praw nie przyznawać mi żadnych, choć cały dzielę frasunek!?

ROSAURA Nie chcę, mój miły Klarynie,
 By w skardze, która z ust moich teraz ku światu płynie,
 I twe się zawarły lamenty.
 Skarżyć się, wzdychać i żalić — masz obowiązek swój święty,
 Ból tak się zmniejsza w wzdychaniu,
 Że pewien stary filozof, w dziejów człowieczych zaraniu,
 Doradzał szukać potrosze
 Nieszczęść, by w użalaniu znajdować potem rozkosze.

KLARYN Hultajem i pijaczyną
 Musiał być mąż ten uczony, któremu w gębębym śliną
 Napluł, lub tysiąc razy
 Wygrzmocił pięścią za takie wzniosłej mądrości wyrazy!
 Niechby się żalił daremnie
 Za ten traktament; lecz teraz, gdy nocne ciemnie
 Skłon słońca za sobą wiedzie,
 Powiedźcie, Mościa panienko, jak w górach nowej ujść biedzie?

ROSAURA Któż losów podobnych dopusty
 Przeżywał kiedy, Klarynie? Lecz jeśli to majak pusty
 Moich nie zwodzi oczu,
 Tedy, w światłości gasnącej i zórz wieczornych pomroczu,
 Widzę, jak mi się zdawa,
 Gmach jakiś!...

KLARYN Sen to, czy jawa,
Czy pragnień spełnienie mnie czeka?

ROSAURA Wśród stromych skał się tu chowa smutne mieszkanie
człowieka,

Dom dziwnej zaiste budowy,
Tak niski, iż nawet ku słońcu nie śmie podnosić swej głowy.
Tak dzika, twarda, ponura
Jest tego domu struktura,
Że u stóp głązów skalistych tych niezmierzonych przełęczy,
Co słońcu ogień rabują i szydząc z promiennej tęczy,
Nie chcą dopuścić do świtu,
Sam zda się skały odłamkiem, nagle strąconym ze szczytu!

KLARYN Zbliżyż do niego się zatem,
Na cóż się zda stąd go ścigać wzrokiem najbardziej
skrzydlatym?

Wejdziemy do wnętrza, by ludzie,
Po długiej wędrówki trudzie,
Mogli nas przyjąć...

ROSAURA Ta brama,
Albo też, rzekłszy prawdziwiej, grobowa, posępna jama,
Stoi otworem, by na świat ze swego wnętrza
Wyziewać nocy otchłanie, która swe mroki tam spiętrza.
Słychać szcęk łańcucha.

KLARYN Cóż znowu słyszę, na Boga!

ROSAURA W posąg z płomienia i lodu ciało zmieniła mi trwoga!
...Zgrzyt żelaz, dźwięki łańcucha...
Jeżeli to nie galernik — niech zaraz wyzionę ducha!
Dobrze mi strach podpowiada.

SCENA 2

ZYGMUNT O biada, biada, o biada
Mnie nieszczęsnemu!

ROSAURA Ta skarga
Męczarnią serce me targa.

KLARYN Mnie do pięt przechodzą dreszcze!

ROSAURA Klarynie!

KLARYN Pani!

ROSAURA Czas jeszcze,
Ucieknem od strasznej wieży!

KLARYN Niech Jejmość panna mi wierzy,
 Że nogą nie ruszę od trwogi.

Szczęśliwej więc życzę wam drogi!

ROSAURA Zali to światło migoce,
 Czy gwiazda, na niebie poblądła, oczy swe mruży sieroce,
 By w wysileniu przed skonem
 Wyrzucić z siebie snop iskier, jaśnieniem błysnąć czerwonym,
 I dzięki opatrnej światłości,
 Powiększyć jeszcze mrok czarny, który w jaskini tej gości?...
 Jeżeli, stojąc zdaleka,
 Mogę rozróżnić przy świetle, co pierzcha, błednie, ucieka —
 To mamy więzienie przed sobą,
 Będące żywemu trupowi wiecznych grobowców żałobą.
 Człek, w skóry zwierząt odziany,
 Tam leży... Widok straszliwy!... Na nim zaś ciężą kajdany,
 Blask nikły igra u czoła,
 Ponieważ uciec nie mogę, z udręki wychodząc koła,
 Słuchajmyż, co opowiada
 Głos jego...

Otwierają się drzwi wieży. Widać Zygmunta z łańcuchem u nóg, ubranego w skóry
 zwierzęce. W wieży pali się światło.

ZYGMUNT Biada, o biada!

Nieszczęsny i potępiony,
 Pytam was, srogie niebiosy:
 Jaki grzech we mnie tkwi?
 Dlaczego znaczą we krwi
 Od dnia urodzin me losy?
 Wewnętrzne mówią mi głosy,
 Że zrodzon — już w życia rano,
 Grzechem mam duszę skalaną,
 Że słuszny nade mną jest sąd,
 Gdyż narodziny — to błąd,
 Jaki nam spełnić kazano.

Pragnąłbym wiedzieć jedynie,
 Przeznaczeń ścigając ślad
 (I mego przyjścia na świat,
 Nie biorąc w uwagę ninie),
 W jakim dotknąłem was czynie,
 Że mnie tak srogo karzecie?

Czyż inni, co żyją na świecie,
 Nie noszą narodzin swych plam?
 Dlaczegoż więc cierpię sam,
 Gdy winą wspólna jest przecie?

Ptaka w piór swych rodzi się chmurze,
 Daje piękna wieszcząc bogaty,
 Wygląda, jak bukiet skrzydlaty,
 Jak kwiat, rzucony ku górze.
 Gdy w powietrzne podróże,
 Do słońca wylata w gości,
 O gniazda już nie wspomni litości,
 Dawnym się schronem nie wzruszy;
 A ja, co więcej mam duszy —
 Czemuż to mniej mam wolności?

Zwierzę, zrodzone, widząc, że skóry
 W cudowne mu wzory i pręgi,
 Podobne do gwiazdnej wstęgi,
 Układa pędzel natury —
 Już ostrzy kły i pazury
 I nakaz spełniając srogości,
 Uczy się gwałtu i złości, —
 To monstrum, wypełzłe z podziemi!
 Ja zaś, z czuciami lepszymi,
 Czemuż to mniej mam wolności?

Ryba się rodzi wśród błota,
 Szlamu, porostów, wód mętu;
 Gdy jednak łuska ją złota
 Pokryje — na wzór okrętu,
 W czystej przejrzałości fali,
 Płynie wciąż dalej i dalej!
 Ach, wówczas na wód głębokości,
 Z ogromem nieskończoności,
 Poczciwie gra, swawoli...
 A ja, co więcej mam woli,
 Czemuż to mniej mam wolności?

Rodzi się strumień — wąż śliski,
 Co pośród kwiatów się wiję;

Zaledwie tę srebrną żmiję,
 Drzemiącą u wód kołyski,
 Kwietne uwolnią uściski —
 Już śpiewa pełna wdzięczności,
 Ze kwiaty, w swej wspaniałości,
 Wolną jej przestrzeń odkryły...
 A ja, co więcej mam siły
 Czemuż to mniej mam wolności?

Ach, przez te męki i szaty
 Stałem się Etny obrazem,
 Pierś swą otworzę — zarazem
 Serce me szarpiąc w kawały!
 Jakichż to sądów wyrazem
 Jest sprawiedliwość, co broni
 Promienia wolności mej skroni,
 Najświętszej rzeczy dla sumień!?
 Którą ptak, ryba, zwierz, strumień
 Z boskiej się cieszą wszak dłoni!

ROSAURA Litość naprzemian i twogę
 Odczuwam w głębinie ducha.

ZYGMUNT Kto skargi mojej tam słucha —
 Czy Klotald?

KLARYN Powiedzieć mogę,
 Że tak...

ROSAURA Nie, nie... to strapiony
 Człek, co pod gwiezdne sklepieniem
 Z twem się zapoznał cierpieniem.

ZYGMUNT Dlatego też śmierć ci zadam,
 Wiesz bowiem, iż wiem, który biadam,
 Żeś wiedział o walce z sumieniem *).

To dosyć, by spadła twa głowa,
 Byś w ramion schwycony mych kleszcze
 Śmiertelne odczuwał dreszcze!

*) W oryginale gra słów:

Pues muerte aqui te daré
 Porque no sepas que sé
 Que sabes flaguezas mias.

(Dlatego też śmierć ci zadam,
 Abyś nie wiedział, że wiem,
 Żeś wiedział o mojej słabości).

KLARYN Nie mogłem dosłyszeć słowa,
Bom głuchy!

ROSAURA Jeśli się chowa
Człowiecza dusza w twem łonie,
Wystarczy pochylić skronie
Z błaganiem!

ZYGMUNT Twój głos mnie pęta,
Zadziwia cześć dla mnie święta
I miesza wzrok, który płonie!

Kim jesteś? Chociaż ja tu
Niewiele tak wiem o świecie,
Ponieważ grobem mym przecie
I wraz kołyską do snu
Była ta wieża, co złu
Stróżuje!.... Od przyjścia na świat
(Ach, jakież to przyjście!) ten szmat
Pustyni na oczach mych noszę,
Ja — człowiek i monstrum potrosze
I szkielet, co życie gdzieś skradł!

Wyznaję, żem do tej godziny
Z jedną mógł tylko istotą
Rozmawiać uczenie poto,
By nieba i ziemi krainy
Zgłębiać! Strach chwyci cię siny
I ciałem twem wstrząsną dreszcze,
Gdy z ust mych dowiesz się jeszcze,
W serca spojrzawszy wprzód nierząd,
Że żyję, jak człowiek wśród zwierząt,
Jak zwierzę wśród ludzi złowieszczę!

Choć w tej wieczystej udręce
Zgłębiłem sens polityki,
Której mnie uczył zwierz dziki,
Oraz szczebioty ptaszęce,
Choć do gwiazd podnosząc ręce,
Mierzyłem ich górne obroty —
Ty jeden ściszyłeś tęsknoty,
Słuch pojąć mój zachwyceniem

I oczom, zbratanym z cieniem,
Promień wskazując złoty!

Ilekróć zatopię się w niebie
Ócz twoich upojon błękitem,
Za nowym znów tęsknię zachwytem,
Nienasycony w potrzebie
Patrzania! Zali przez ciebie
Pragnienia poznałem jady?
Patrząc, dreszcz czuję zagłady,
Twój widok — to śmierć... Jednak poję
Tą śmiercią spojrzenia moje
I mrę, by cień ujrzeć twój błąd.

Patrząc, śmierć czuję — przybłądę,
Lecz jeśli patrzanie śmierć zsyła,
To powiedz, co da mi mogiła,
Gdy na cię patrzeć nie będę!
Ach, znacznie więcej posiędę:
Gniew, wściekłość, ból, szaty i płacz,
Więcej niż śmierć, której znaczę
Granice potęgi w tym bycie,
Bowiem nieszczęsnym dać życie,
To szczęsnym nieść śmierci rozpacze!

ROSAURA Patrzę na ciebie z boleścią,
Z podziwem słucham twej mowy;
Jakiemiż pytać cię słowy,
Lub jaką odpłacać powieścią?
Tą jeno podzielę się wieścią,
Że nieba przywiodły tu mnie,
Bym znalazł pociechę na dnie
Cudzego nieszczęścia! Lecz czyż
Pociesza nieszczęsnych, że krzyż
Cudze ramiona też gnie?

Słyszałem o mędrцу, który
Dolę miał tak niełaskawą,
Iż żył ziołami i trawą,
Prawdziwym darem natury;

Czyż jest kto (pytał ponury)
 Równemu nieszczęściu podległy?
 Wtem oczy jego spostrzegły
 Innego mędrca (traf rzadki!),
 Zbierającego odpadki
 Ziół, co mu drogę zaległy.

Na twarde skarżyłem się losy,
 Goryczą trulem swe serce,
 Sądząc, że w poniewierce
 Mnie tylko żyć każą niebiosy,
 Co srogie zsyłają ciosy;
 Dopiero tyś przyniósł ukoje,
 Poznałem bowiem, że moje
 Bóle, co dręczą na jawie,
 Z radością pozbierałbyś prawie,
 Aby w nich znaleźć ostoję!

Jeżeli zaś me cierpienia
 Ulżenie sprawić ci mogą,
 To słuchaj, by potem dowoli
 Wybierać z męki nadmiaru:
 Jam jest...

SCENA 3

Klotald, żołnierze, Zygmunt, Rosaury, Klaryn.

KLOTALD (*za sceną*) Podli tej wieży strażnicy, co w opieszalstwie,
 w uśpieniu,

Daliście dwóm obcym przybyszom więzienia przekroczyć próg.

ROSAURA Nowe nieszczęście się leże!

ZYGMUNT To Klotald — strażnik mój główny!

Czyż nigdy moim cierpieniom końca nie ześle Bóg?

KLOTALD Sam do mnie tutaj, a żywo, i zanim opór nam stawią,
 Pętać ich, w dyby zakuwać, brać żywcem, albo zabijać!

ŻOŁNIERZ (*z głębi wieży*) Hej! Zdrada!

KLARYN Panowie z wieży, którzyście nas tu wpuścili —

Ponieważ wybór jest wolny, więc bierzcie nas, proszę,
 w niewolę.

KLOTALD Zasłońcie swoje oblicza, albowiem, w wyrocznej tej chwili,

Dopóki tutaj jesteśmy, nikt nas rozpoznać nie może!

ROSAURA Ach, więc to maskarada!

KLOTALD O głupi, niebaczni ludzie,

Jakżeście śmieli przekroczyć miejsca onego granicę?

Przeciwko dekretem króla, który surowo zabrania

Spoglądać na dziw natury i zgłębiać jej tajemnicę.

Oddajcie broń swą i życie, lub mój pistolet — ta żmija

Z metalu — strumienie jadu na wasze czoła wyrzuci

I dwiema kulami przeszyje niebieskie stropy nad głową!

ZYGMUNT Zanim, okrutny tyranie, krzywdę wyrządzić im zdołasz,

Życie me padnie ofiarą tych pęt i kajdan przeklętych.

Bowiem szponami pazurów sam ciało rozedrę na ćwierci,

Chociaż w żelaza zakuty! ...by zginać w skalistym tym grobie,

Nim się ich krzywda dopełni, nim nad ich losem zapłacę.

KLOTALD Jeślibyś wiedział, Zygmuncie, o swoich nieszczęść naturze,

Która sprawiła, żeś umarł jeszcze przed przyjściem na świat,

Jeślibyś wiedział, że twoje szaleństwa, wściekłości i furje

Za tamę mają więzienie, wędzidła mają z tych krat —

Przestałbyś bluźnić, zaiste! Hej tam, straż trzymać przy bramie

I loch zatrzasnąć więzienny...

ZYGMUNT O nieba! Widzę, że słusznie

Wolność mi wzięta została, albowiem, gdybym był wolny,

Przeciwko słońcubym podniósł, jak olbrzym, mocarne ramię

I by zgruchotać na szczątki zwierciadło z szkła i kryształu,

Na fundamencie skalistym oparłbym góry z jaspisu.

SCENA 4

Rosaura, Klotald, Klaryn.

KLOTALD Byś tego nie mógł uczynić, więzienne znosisz katusze!

ROSAURA Widząc, że duma wyniosła tak bardzo zraziła ciebie,

Proszę cię tonem pokory o życie, co u stóp twych leży.

Miej litość, bowiem okrutną nad wyraz trzeba mieć duszę,

By na głos pokory i dumy zarówno głucha została.

KLARYN A jeśli pokora i duma, które w pobożnych misterjach

Tak wielu ludzi wzruszały — ciebie jednego nie wzruszą,

Tedy nad moją wpół dumną i wraz pokorną wpół duszą

Zechciej opiekę roztoczyć.

KLOTALD Strażnicy!

I popęd serca, co z piersi pragnie się wyrwać skrzydlate,
 Łopocąc skrzydłem, by skruszyć mury swojego więzienia!
 Rzecz niepodobna to przecie — więc, jak człek w wieży
 zamknięty,

Na odgłos ulicznych tumultów do okna swej celi się zbliża,
 Tak samo czyni me serce, które, nie wiedząc o niczem,
 Do oczu — tych okien duszy bieży, by mocno stroskane
 W łez czystych spłynąć potoku, znajdując swe ujście na świat.
 Cóż czynić? Niechaj mnie niebo ma teraz na pieczy... Co
 czynić?

Wydać królowi — to znaczy na śmierć ich powieść niechybną:
 Ukryć przed królem — niesposób, gdyż wiązą mnie śluby
 wierności...

Ach, jak się w sercu mem zмага głos obowiązku z miłością!
 Dlaczegoż jednak się waham? Czyż wierność dla króla nie
 znaczy

Więcej, niż życie i honor? Niech zatem nad życiem przemaga
 Twarda powinność... Prócz tego słyszałem przecie, jak mówił,
 Że tu przybywa, by pomścić zniewagę mu wyrządzoną.
 Człek znieważony — to znaczy honoru pozbawion. Mój syn
 Nie ścierpiałby obelg! Stąd wnoszę, że synem mym być nie
 może,

Krwi mojej nie ma w swych żyłach! Lecz przecie przypuścić
 wolno,

Że nieszczęśliwy przypadek, któremu nikt ująć nie zdoła,
 Przywiódł na szwank cześć i honor, co taką posiada naturę,
 Że tchnienie ust go już plami, byle postępek nim wstrząsa.
 Cóż zatem mógł więcej uczynić, co więcej uczynić ponadto,
 Że wśród hazardów i trudów tu przybył dla zemsty szlachetnej?
 Moją krew w żyłach ma przeto, moim jest synem przez
 dzielność.

Tak tedy, z dwóch wątpliwości drogą wychodząc jedyną,
 Powiodę więźnia przed króla, wyznam, że moim jest synem,
 Niechaj go życia pozbawia... być może, że moja gorliwość
 W spełnianiu służby powinnej królewski fawor mu zyska;
 Wówczas mu z serca pomogę zemsty dokonać powinnej.
 Jeśli król jednak w srogości swojej trwać będzie uparcie,
 Niech więzień ginie — nie wiedząc, że we mnie miał swego
 ojca!

Pójdźcie, przybysze, mym śladem! A niech wam będzie
 wiadome,
 Że nie cierpicie samotnie, ja bowiem sam w tem wątpieniu
 Nie wiem już sam, czyli życia, czy śmierci są cięższe doznania!

SCENA 5

Sala w pałacu królewskim na dworze króla Polski. Astolf w otoczeniu żołnierzy ukazuje się po jednej stronie sceny, po drugiej — Infantka Estrella z damami dworu. Muzyka wojskowa i salwy armatnie.

ASTOLF Przy blasku światła, co płynie
 Od komet i srebrnych tęczy,
 Wszystko was witać chce ninie;
 Tam klarnet i puzon dźwięczy,
 Ptak śpiewa! Na wód głębinie
 Melodja się budzi zakłeta!
 To wasze sławią zalety,
 Z waszego radują się święta
 Owe pierzaste klarnety
 I te z metalu ptaszęta.

I tak was witają — seniore,
 Jak księżnę arkabuz palby,
 Ptaki — jak Aurorę,
 Jak Pallas — puzonów chwalby,
 Zaś kwiaty — jak kwiatów Florę,
 Bowiem jesteście w tej głuszy,
 Światłość tłumiącej bladą,
 Aurorą, co mrok kruszy,
 Florą pokoju, Palladą
 Wojny i panią mej duszy!

ESTRELLA Jeżeli uczynkom ludzi
 Głos ludzki kłamie i przeczy —
 To pocóż się książę trudzi
 Mówieniem tak dwornych rzeczy?
 Nic mojej duszy nie złudzi,
 Gdyż hufiec widząc tu zbrojny,
 Do walki jestem gotowa!
 Jak jednak z srogością wojny
 Pogodzić tak grzeczne słowa?

A zważcie, że czyn to plugawy,
 Zwierzęciu jedynie przystojny
 I hańby rodzący niesławny:
 Mieć w sercu pragnienie wojny,
 Na ustach serdeczne zaś sprawy.

ASTOLF Źle mnie sądzącie zaiste,
 Estrello, z chęcią zdrażliwą
 Intencje równając czyste.
 Słuchajcie! A jako żywo
 Dowody dam oczywiste!

Król Polski, Eustorg Trzeci,
 Zostawił w dniu swego zgonu
 Troje nieletnich dzieci.
 Bazyli — to dziedzic tronu;
 Nad jedną z cór, Clarileną,
 Światłość wieczysta już świeci,
 Bo matka twa życia ceną
 Na wyższym spłaciła tronie
 Koronę, zdobiącą jej skronie,
 W niebios gwiaździstej zamieci.

Ja z młodszej córki, co mianem
 Recinosundy się zowie,
 Wziąłem swój żywot wraz z stanem
 Książęcym. Niech aniołowie
 Ją mają na pieczy, niech danem
 Będzie jej dożyć stu lat!
 Po latach małżeńskiej doli,
 Mnie w Moskwie wydała na świat;
 Skręcając dyskurs atoli
 Oznajmić wam jestem rad,

Że wuj nasz, król Polski, Bazyli,
 Co ku starości się chyli,
 W nauki duszę wgłębiany,
 Nie ma potomka, ni żony,
 Możemy zatem w tej chwili
 Żądać, by tron był nam dan,
 Wy — prawem swem po kądzieli,

Dochodząc królewskich wian,
Ja — przez to, że mi udzieli
Pierwszeństwa mój męski stan.

Gdy wasze i moje zamysły
Wujowi się stały wiadome,
Oznaczył mi termin ścisły,
W którym otrzymam koronę.
Więc od tych planów zawisły,
Z Moskwy dążyłem tu poto,
Aby królowi w podzięcie
Nieść chęci me z szczerą ochotą.
Wojny nie pragnę, gdyż ręce
Same już w uścisk się plotą.

Niech mądrość sprawi Amora,
By ludu spełniły się wróżby,
Gdy przyjdzie zaślubin pora
I gdy was powiodą me drużby
Do książąt i królów dwora.
Wuj włoży koronę na skronie
Mojego serca władczyni,
By przy mnie zasiadła na tronie;
Inne zaś dziwy uczyni
Ma miłość, co dla was płonie!

ESTRELLA Wspaniałomyślniej twej chęci

Nie będę stawać na wstręcie;
Lecz jeśli ją sukces uświęci —
Pamiętaj na to zaklęcie,
Że jeśli tron mnie dziś nęci,
To jeno dlatego, bym z ręką
Swą mogła oddać go tobie;
Jednak, czyż jest to podzięką,
Gdy portret innej osobie
Poświęcon widzę... (*Wskazuje medaljon z konterfektem
na jego piersi*)

ASTOLF

O męko!

Wszystko wam jeszcze wyjaśnię,
Lecz teraz tłumaczyć nie pora,

Gdyż trąby dać znają hałaśnie,
Ze król ze swą radą od dwora
Ku nam przybliża się właśnie.

SCENA 6

Król Bazyli z orszakiem, Astolf, Estrella, Damy, żołnierze.

ESTRELLA Mądry Talesie...
ASTOLF Uczony Euklidesie...
ESTRELLA Który światy...
ASTOLF Który słońca...
ESTRELLA Dziś ujarzmiasz...
ASTOLF (Jak wieść niesie...)
ESTRELLA Który w górze...
ASTOLF Gwiazdne jazdy...
ESTRELLA Śledzisz, świadom ich obrotów...
ASTOLF Zwól uścisnąć cię...
ESTRELLA Bądź gotów,
Ze bluszcz ramion cię owinie...
ASTOLF Ze do stóp twych padnę ninie,
Świadom cnót twych i kłopotów.
BAZYLI Pójdźcie w ramiona, siostrzany,
Co szczere niesiecie mi chęci,
Czcząc me zamysły i plany!
Chęć waszą nagroda uświęci,
Gdy sercem z wami zbratany,
Wyznam, że mnie już przygniata
Łat jarzmo. Sędziwe to lata!
Słuchajcie więc szczerzej powieści,
W której niejedna się mieści
Wieść, w zdarzeń skutki bogata!

Wiadomo wam, moje siostrzany (niechaj uważnie mnie słucha
Dwór polski, wasale, lennicy, kuzyni i przyjaciele),
Wiadomo wam, że swą wiedzą zdobyłem sobie na świecie,
Przydomek mędrca, którego nasze nie zaćmi stulecie,
Bowiem już pędzel Timanta, oraz Lizyppa marmury
Po całym ziemi okręgu Wielkim Bazyliem mnie zowią.
Wiadomo wam, że nad sciencję i różne prawdy natury
Przekładam matematykę, przez którą wydzieram przyszłości

Przywilej jasnowidzenia i wraz istotę tajności.
 Albowiem kiedy, spojrzawszy na tablic mych hieroglify,
 Widzę przed sobą na jawie przyszłych stuleci zdarzenia,
 To przyszłość, odkryta mym oczom, traci pierwszeństwo mówienia!
 Te baldachimy z kryształów, te śniegów wieczyste kręgi
 Złożone słońca blaskami, wędrówką księżycy srebrzone,
 Wszechświaty całe z diamentów i globy całe ze szkła,
 Jasnemi strojne blaskami, u gwiazdnej wiszące wstęgi —
 Były mi w biegu żywota pierwszą dociekań materją,
 Księgą o stronach z diamentów i szafirowym zeszytem,
 W którym na linjach złocistych, pismem w marmurze wrytem,
 Los wieści nasze zdarzenia, pomyślne albo przeciwnie!
 Czytam je z taką łatwością, iż mi samemu to dziwne,
 Że mogę duszą nadażyć za ich wieczystą przemianą!
 Ach — czemuż Bóg nie zezwolił, by me nieszczęsne przypadki
 Zostały tam zapisane, bym ogni niebieskich chrzestem
 Dotknięty, nie mógł się stać już wykładem tych ksiąg i rejestrem.
 Zaiste! Dla nieszczęśliwych cnota — to ostrze sztyletu;
 Mordercą samego siebie jest ten, kto swą wiedzą się truje.
 Powiadam tak, chociaż lepiej powiedzą o tem me losy,
 Których zechciejcie wysłuchać, w surowem trwając milczeniu:
 Z małżonką mą, Clarileną, miałem męskiego potomka;
 Przy jego zrodzeniu niejeden znak dziwny dały niebiosy.
 Zanim go żywy grób łona powierzył słońca jasności
 (Zrodzenie i śmierć — to jedno!), nieszczęsna matka widziała
 W majakach i złudach sennych po tysiąc razy, że monstrum,
 W kształcie człowieka, wnętrzości okrutnie wyrwa jej z ciała,
 Że, krwią jej cały splamiony, na świat się pragnie wydostać
 Ten gad najstraszniejszy stulecia, co ludzką wziął na się postać.
 Gdy nadszedł dzień rozwiązania, niebieskie sprawdziły się znaki
 (Albowiem głos smutnych przeczuć nie zwykł zawodzić nas nigdy),
 Narodzonemu dziecięciu horoskop stawiając taki,
 Że słońce, we krwi skąpane, z księżycem zaczęło bój:
 Dwie gwiazdy walczyły z sobą, wysiłkiem wszystkich promieni,
 Nie mogąc się dosiąć, gdyż ziemia je przedzielala w przestworzu.
 Podobnie straszliwe zaćmienie nie było słońca udziałem,
 Od chwili, gdy krwią swą płakało nad grobem Chrystusa Pana.
 Żywy słup ognia wytrysnął!... Ziemia, płomieniem zalana,
 Myślała, że kres się już zbliża, że śmierci chwytają ją kurcze!
 Z chmur deszcze gładów lunęły, mrok czarny objął niebiosy,

Rzeki krwią spływać poczęły... Gdy słońce, przez jady jaszczurcze
 Zatrute, miotać się jęło w konwulsjach i paroksyzmach,
 Narodził się Zygmunt, by swego dać przyrodzenia dowody:
 Matkę żywota pozbawił, mówiąc przez straszny uczynek:
 „Człowiekiem jestem, a zatem złem płacę za dobrodziejstwa“!
 W swej wiedzy wgłębiany tajniki, respons dostałem wyroczny,
 Że Zygmunt będzie człowiekiem najokrutniejszym z okrutnych,
 Książęciem litości zbytym, bestją drapieżną i srogą;
 Dlatego też jego państwo, rozdarte, skłócone z sobą,
 Stanie się szkołą zdrad niskich i akademją występków!
 On zaś, szaleństwem opętany, krocząc od mordu do zbrodni,
 Nogę postawi swą na mnie, co leżąc w prochu na ziemi
 Ujrzę (ach, jakimż wstydem dumne napęlnia się serce!),
 Że z siwych włosów rodzica dla stóp swych czyni kobierce!
 Któżby nie wierzył nieszczęściom — tym zwłaszcza, które odkrywa
 Wysoka i tajna wiedza, z miłością własną złączona?
 Ja przeto, ufny prorocztwu o losów strasznej kolei,
 Kazałem uwięzić bestję, poczętą z żony mej łona,
 By się przekonać, czy mędrzec może gwiazd zmienić wyrocznię?...
 Ludowi wieść ogłoszono, że infant martwy się zrodził,
 Ja zaś kazałem tymczasem wznieść wieżę w głębokiej kniei,
 W ostępie, na stromem urwisku, gdzie słońce się z trudem przedziera,
 Bowiem przystępu mu bronią głazy i skał obeliski!
 Wydano dekret państwowy, który pod groźbą kar srogich
 Nie zwała moim poddanym przekraczać miejsc tych granicy.
 Zygmunt tam żyje w niewoli, nieszczęsny, szaleństwu bliski,
 I tylko Kłotałd ma prawo z nim mówić i mieć go na pieczy,
 Jedyne świadectwo nieszczęścia i wraz preceptor jedyny,
 Który prawd różnych go uczył i wiary odkrywał głębiny!
 A teraz trzeba mi myślą zbadać materję trzech rzeczy:
 Pierwsza — to Polska, co zawsze ojczyzną była tak miłą,
 Że nie chcę jej rzucać na pastwę ciemnocy, tyrana i kata,
 Który zaiste już nigdy szlachetnym się władcą nie stanie
 I raczej państwo swe wtrąci w nieszczęścia wiecznego otchłanie.
 Lecz gdzież tu miłość bliźniego, której uczyłeś nas, Chryste?
 Gdzież prawo? — pytam w responsie na drugiej kwestji pytanie,
 Co zwała krwi mej odbierać należne jej przywileje,
 Ustanowione przez ludzkie, a także i boskie zakony.
 Więc, aby innych uwolnić od gwałtów i samowoli,
 Sam mam te gwałty popełniać? Jeśli mój syn, w samej rzeczy,

Jest okrutnikiem — to przecie wzoru brać odeń nie będę
 Dla ciemnienia poddanych. A oto kwestja ostatnia:
 Żle uczyniłem, pochopną zbyt darząc wiarą te wróżby,
 Gdyż jeśli ku złu go podwodzi natura i przyrodzenie,
 Jeśli go trzyma w swych siłach losów przeciwnych matnia —
 To wszak wyzwolić się może, skłonności wrodzone przemóc!
 Albowiem los wraży najbardziej, najgwałtowniejsza namiętność
 I gwiazdy w gniewie najsroższe — woli człowieka nie kruszą,
 Lecz tylko naginać ją pragną. Tak tedy, w sumieniu zachwiany,
 Pomiędzy sprzecznymi krańcami rozdartą wciąż trwając duszą,
 Przyszedłem do owej myśli, która zadziwi was srodze:
 Jutro mój tron Zygmunutowi (to imię zostało mu przeciel!)
 Oddam, nie mówiąc jednak, że mym jest dziedzicem i synem.
 Niech wami rządzi i włada i niechaj każdy z poddanych
 Ślubuje mu posłuszeństwo! Dzięki tym środkom, jak sądzę,
 Trzykrotny dać będę mógł respons na trzy pytania uprzednie:
 Jeżeli Zygmunt szlachetnym i prawym się władcą okaże,
 Kłamstwo zadając losowi, co wieścił złe przepowiednie,
 Ujrzycie nad sobą monarchę, który był w swojej młodości
 Sąsiadem zwierza dzikiego i dworzaninem wśród skał.
 Jeżeliby jednak, jak dawniej, niezbiecie i hardo trwał
 W pysze, zuchwalstwie, ohydzie, oraz szkaradnej swej złości,
 Jeżeliby, zbyt wędzidlą, biec począł drogą zbrodniczą —
 Postąpię wówczas, jak każe mój obowiązek królewski,
 I jako władca najwyższy sceptrum mu złote odbiorę.
 Niech wraca do swojej wieży i słuszną karę ponosi!
 Jeszcze mi dodać należy, że w tym nieszczęsnym przypadku,
 Najdrożsi moi poddani, godniejszych królów wam wskażę.
 Mam tu na myśli siostrzeńców, co węzłem małżeńskim złączeni,
 Dla cnót swych, wspólną koronę odbiorą odemnie w darze.
 To wam jak władca polecam, jak ojciec o to was proszę,
 Jak mędrzec błagam, jak starzec doradzam w swej eksperjencji.
 A jeśli Hiszpan Seneka, tak pełen wybornej sciencji,
 Mówi, że sługą najniższym Rzeczypospolitej jest król —
 Tedy jak sługa pokorny do was te niosę błagania!

ASTOLF Jeżeli ja mam głos zabrać w wasali twoich imieniu,
 Ja, co mam związek tak ścisły z wyrocznych zdarzeń koleją —
 To powiem: niech Zygmunt powraca! Dość wszak, że twoim jest
 synem!

WSZYSCY Daj, panie, nam księcia naszego! Niech stwierdzi cnotą
i czynem,

Że godzien jest królowania!

BAZYLI Z sercem wezbranem nadzieją

Dziękuję wam, moi lennicy, prosząc zarazem w tej chwili,

Byście do komnat odwiedli siostrzanów — królestwa podpory!

Jutro już Zygmunt tu stanie!

WSZYSCY Niech żyje Wielki Bazyli!

Wychodzą wszyscy wraz z Estrellą i Astolfem. Na scenie pozostaje Bazyli.

SCENA 7

Klotald, Rosaura, Klaryn, Bazyli.

KLOTALD Czy wolno mi mówić?

BAZYLI Klotaldzie, jakże dziś w porę przybywasz!

KLOTALD Choć zawsze zmierzam tu z chęcią, by do stóp królewskich
się skłonić,

Dzisiaj wieść smutną przynoszę, że, losów przeciwnych wolą,

Prawo straciło przywilej, obyczaj poszedł w niepamięć...

BAZYLI Jakież to sprawy cię bolą?

KLOTALD Nieszczęście zdarzyło się, panie,

W którym zarazem swą radość oglądaćbym mógł niespodzianie.

BAZYLI Mów dalej!

KLOTALD Ten piękny młodzian zuchwale i nieostrożnie

Wszedł do więzienia, gdzie księcia, mojego więźnia, zobaczył.

BAZYLI Nie troszcz się o to, Klotaldzie, gdyż jeśliby ten przypadek

Ciężkie mi sprawił strapienie, w innych warunkach zdarzony —

To dziś, gdy wszystko wyznałem, obcy nie szkodzi mi świadek.

Przybliż się do mnie, mój sługo, pouczyć muszę cię wiele,

Gdyż jako mej woli narzędzie, masz stanąć na zdarzeń czele,

Jakich świat jeszcze nie widział. A teraz zdejmij im pęta.

Zbyt srogoś sobie poczynął...

KLOTALD Żyj, wielki królu i panie!

SCENA 8

Klotald, Rosaura, Klaryn.

KLOTALD (*na stronie*) (Oto traf losów szczęśliwy i łaska ich niepojęta!

Nie wyznam, że moim jest synem, gdyż przecie mylić się mogę).

Wolni jesteście, przybyście!...

ROSAURA Do stóp Waszmości upadam...

KLARYN Ja, chociaż stoję na nogach — że padam także, powiadam;
Nie będziem się przecie kłócili o jedną więcej literę.

ROSAURA Życie przyniosłeś mi w darze, wyznanie przyjmij więc szczere,
Że żyjąc, dzięki twej łasce, twym pragnę być niewolnikiem.

KLOTALD Nie dałem ci wcale życia, gdyż człek urodzony wysoko,
Gdy ktoś go znieważy i shańbi — przestaje żyć już zaiste;
Sam rzekłeś, że tu przybyłeś, by hańbę zmyć wroga posoką!
Jakżeż ci mogłem dać życie, skoro nie miałeś go wcale?
Życie bez czci nie jest życiem!... (Pragnę pobudzić w nim męstwo!)

ROSAURA Przyznaję, że życia nie miałem, aczkolwiek zawdzięczam je
tobie;

Jednakże, zemstę sprawiwszy, tak honor obmyję z plam,
Że życie me, wśród hazardów walczące o czci zwycięstwo,
Godne się stanie tych darów... Ach, wówczas uznasz to sam!

KLOTALD Weź miecz ten siejący błyski, wiem bowiem, że — zatopiony
W krwi twego wroga — wystarczy, by zemście stało się zadość,
Miecz, co był moją własnością choćby przez chwilę najkrótszą,
Umie zabijać!...

ROSAURA Przyjmując, największą odczuwam radość,
I na tę gardę przysięgam, że zemstę wywrę na wrogu,
Choćby był potężniejszy!...

KLOTALD Zali potężny jest bardzo?

ROSAURA Tak wielki, że muszę zataić przed tobą jego nazwisko,
Nie, abym nie chciał tajemnic powierzyć mądrości twojej,
Lecz przeto, aby twój fawor przeciwko mnie się nie zwrócił.

KLOTALD Niechże się waszmość, przybyszu, o me fawory nie boi;
Gdy wyznasz, kto jest twym wrogiem — z pewnością mu nie
pomogę.

(Ach, jakżebym chciał się dowiedzieć!)

ROSAURA Byś nie mógł rzec, że ufności
Nie mam do ciebie, w tej chwili mą tajemnicę wyjawiam:
Wiedz, że to sam książę Moskwy, Astolfem zwan, jest mym wrogiem.

KLOTALD Ból duszę moją oślepia! Ach, klnę się niebem i Bogiem,
Że męka jest większa, niż mogłem przedstawić ją w wyobraźni!
Zgłębmy rzecz całą do końca. Jeśli jest Moskwicinem,
Którego twój prawy władca mógł przecie łatwo obrazić —
Powracaj do swej ojczyzny, bowiem ratunkiem jedynym
Jest zgasić płomień, co trawi!

ROSAURA Wiem, że obelgę mi zadać
Mógł również, jako mój książę.

KLOTALD Nie, nie, raz jeszcze! O nieba!

Choćby cię spoliczkował...

ROSAURA Obrazy szukać potrzeba

W głębszych powodach i głębiej w serca zstępować otchłanie!

KLOTALD Więc wyznaj, wyznaj mi wszystko! Więcej nie powiesz, jak
tuszę,

Nad to, co lękiem i trwogą zbolałą przenika duszę!

ROSAURA Spełnię twą prośbę, choć z takim spoglądam na cię szacunkiem,

Z taką pokorą chcę służyć, takie afekty nieść szczere,

Iż ledwie się przyznać ośmielam, że pod pokrywką mej szaty

Tai się dziwna zagadka. Ten pozór — to tylko udanie.

A teraz, gdyś świadom podstępu — sam osądź, dostoyny panie,

Czy Astolf, który tu przybył, by się z Estrellą ożenić,

Mógł mnie, kobietę, obrazić? Tych słów wystarczy ci chyba?

Rosaura wychodzi.

KLOTALD Nie odchodź, racz mnie wysłuchać, wstrzymaj się jeszcze
przez chwilę!...

Ach, w tym chaosie myśl każda, jak nić się płacze i zrywa!

Honor mój został splamiony! Wroga dosięgnąć nie mogę,

Jam lennik — ona kobietą! O nieba, wskażcie mi drogę!

Choć na myślenia bezdrożu, niebo jest samo szaradą,

A świat widowiskiem upiornem. W jakąż mi zwrócić się stronę?...

Przełożył
EDWARD BOYÉ

BOLESŁAW GAWECKI

W S P Ó Ł C Z E S N E ZADANIA FILOZOFII

Obrady tego Zjazdu¹⁾ skupiają się około zagadnienia niezmiernie ważnego i podstawowego: mamy sobie zdać sprawę — jak pisze Komitet Organizacyjny w swym pierwszym komunikacie — „z roli i oblicza współczesnej filozofii, oraz z jej stosunku do poszczególnych nauk“. Zagadnienie to specjalnie dojrzało do dyskusji w Polsce — tutaj bowiem piękne wyniki, osiągnięte w zakresie jednej z nauk, dotychczas tradycyjnie, ale niesłusznie, łączonej z filozofią, a mianowicie w zakresie logiki matematycznej (logistyki) zdają się nieraz przysłańcać filozofię, jako całość, w wielu wypadkach wiążąc się z poglądami na jej istotę i zadania, które przez filozofów przyjęte być nie mogą. W tym referacie stoję na stanowisku samoistności filozofii i jej naukowej metody; bronię — przeciwko neo-pozytywistom — uprawnień w pewien sposób pojmowanej metafizyki i znaczenia filozofii dla życia praktycznego wogóle, zwłaszcza zaś w czasach obecnych, pełnych ideowego zamętu.

*

Często słyszy się zdanie, że czasy bliskiego związku filozofii z życiem, a tym bardziej wpływu filozofowania na życie, minęły bezpowrotnie. Zapałaniu temu przeczą fakty, chociażby ten, że prądy ideowo-społeczne, w t. zw. czasach powojennych najżywotniejsze — katolicki, nacjonalistyczny, komunistyczny — powołują się na pewne systematy filozoficzne, dające wyraźnie zarysowane poglądy na świat. Wyznawcy ich tworzą zorganizowane obozy, szukające w filozofii bądź uzasadnienia swego postępowania, bądź

¹⁾ Odczyt, wygłoszony na plenarnym posiedzeniu III Polskiego Zjazdu Filozoficznego (Kraków, 24 — 27 września 1936 r.).

głębszego ugruntowania doktryny. Ludzie zaczynają coraz wyraźniej dzielić się podług wierzeń o charakterze metafizycznym; powstawanie tych wierzeń i ich rozwój pozostaje w pewnym ciekawym związku z rozwojem badań naukowych z jednej, z przemianami politycznymi i społecznymi z drugiej strony. Rewolucja francuska z końca XVIII wieku zbiega się z tryumfami *mechanistycznego* poglądu na świat, podczas gdy era faszystowska, rozpoczęta w pierwszej połowie XX wieku, łączy się z poszukiwaniem odmiennego poglądu na świat, mianowicie *organicznego*. Jedną z zasadniczych różnic trzech wspomnianych prądów ideowych polega na odmiennym sformułowaniu naczelnego celu dążeń ludzkich: dla katolicyzmu jest nim zbawienie indywidualnych dusz, a więc cel duchowy jednostek; tymczasem nacjonalizm poświęca poszczególne jednostki dla materialnego i duchowego dobra narodu i państwa narodowego, a komunizm — dla materialnego przede wszystkim dobra ludzkości, utożsamianej z międzynarodowym proletariatem.

Żywą działalność rozwija w ostatnim okresie również obóz antyfilozoficzny, czyli pozytywistyczny. Przedstawiciele tego kierunku (ma on liczne odgałęzienia) odrzucają filozofię w sensie tradycyjnym, jakkolwiek okazują wyraźne sympatie dla materializmu — najdawniejszej postaci metafizyki — i na tym gruncie spotykają się niekiedy przyjaźnie z komunizmem. Dwa pozostałe kierunki — nacjonalistyczny (z wyjątkiem hitleryzmu) i katolicki — mają również punkty styczne. N. p. zjawisko życia w obu tych obozach traktuje się zazwyczaj jako zjawisko *sui generis*, niesprowadzalne w całości do zjawisk fizycznych i chemicznych; ich zwolennicy zgodnie skłaniają się ku neo-witalizmowi, czyli biologii antymechanistycznej, w przeciwieństwie do komunistów i pozytywistów.

Związek pomiędzy idealizmem włoskim a faszyzmem wydaje się na pozór trudny do uchwycenia. Jednakże związek tej filozofii z życiem — z współczesnym życiem włoskim w szczególności — jest widocznie uznawany, skoro współtwórca idealizmu, Benedetto Croce, mógł na Ósmy Międzynarodowy Kongres Filozoficzny (w Pradze) zgłosić odczyt p. t. „Posłannictwo filozofii w czasach obecnych“. Idealizm włoski jest reakcją przeciwko pozytywizmowi i jest dążeniem do odnowienia żywotnej idei ewolucyjnej, tkwiącej w heglizmie, w duchu tradycji rodzimych, sięgających G. Vica, a nawet G. Bruna. Rozwój poznawania ludzkiego, rozpatrywany w tej historycznej perspektywie, przedstawia się Giovanniemu Gentile jako stopniowe uświadamianie sobie immanentnego charakteru rzeczywistości. Przedmiot w oderwaniu od podmiotu jest abstrakcją. Umysł ludzki nie tylko przetwarza, lecz tworzy przyrodę, czyli swe otoczenie; twórczy akt duchowy stanowi o granicy pomiędzy tym co rzeczywiste, a tym co nierzeczywiste. Duch

ludzki jest zdolny do nieograniczonego rozwoju — ewolucja ta nie ma kresu. Urojeniem jest natomiast wiara w aktualne istnienie Ducha Doskonałego.

Filozofię tę nazwano „śmiałą i zaborczą²⁾ — słusznie, skoro całą bez reszty rzeczywistość podporządkowuje twórczej działalności człowieka, uznając za czystą abstrakcję pojęcie czegokolwiek niezależnego od tej twórczości. Czy w zdobywczym faszyźmie, nie cofającym się przed niczem w konsekwentnym tworzeniu nowej rzeczywistości w imię rozwoju potęgi narodu, nie znajdujemy odbicia tej idealistycznej filozofii? Przyszłość zależy od człowieka; człowiek, który tworzy historię, ma prawo nie liczyć się z ograniczeniami, nie mającymi źródła w jego własnym akcie duchowym. Dla katolika, wogóle dla chrześcijanina, wolność człowieka w stanowieniu o tym, co dobre i co złe, ogranicza wola Boga; dla nacjonalisty włoskiego — i nie tylko włoskiego — jedynym kryterium jest interes własnego narodu.

Komunista, nie wierząc w Boga i prawa boskie, wierzy w niezależną od umysłu ludzkiego przyrodę; jest realistą nie tylko w działaniu, lecz — w przeciwieństwie do faszysty — także w teorii poznania. Oba systematy są ewolucyjne w duchu heglowskim; ewolucję ducha zastępuje w doktrynie komunistycznej ewolucja przyrody, której częścią jest t. zw. dusza lub psychika ludzka, czyli całokształt reakcji nerwowych poszczególnych organizmów

Mussolini jest przede wszystkim realizatorem; ale Lenin był również, a nawet głównie, teoretykiem. Jego materialistyczny pogląd na świat stał się w Związku Republik Socjalistycznych państwowym dogmatem pod nazwą diamat'u, mającą oznaczać materializm dialektyczny. Według tej teorii materia jest obiektywną rzeczywistością; jest tym, co działa na narządy zmysłowe, wywołując uczucia (wrażenia). Wprost odwrotnie, niż w filozofii włoskiej, świat zewnętrzny ma określać naszą świadomość, a wszelką wiedzę daje nam tylko zmysłowe doświadczenie. Nie ma nic bezwarunkowego, absolutnego; wszystko w przyrodzie się zmienia i znajduje się w ruchu. Te zmiany odbywają się według stałych praw, przy czym zasadniczym prawem jest heglowskie ścieranie się przeciwieństw lub sprzeczności w dążeniu do syntezy; to właśnie rozumie się tu przez „dialektykę“.

Teoretycy komunizmu bardziej jeszcze, niż filozofowie faszystowscy, starają się o stosowalność praktyczną głoszonych zasad. Ta dogmatyczna i ściśle ortodoksalna filozofia ma stanowić uzasadnienie nie tylko politycznej praktyki bolszewizmu i dążenia do światowej rewolucji, ale także teorii naukowych, n. p. dotyczących budowy materii, zjawiska życia i t. d.

²⁾ Ch. Boyer, *L'idéalisme de M. G. Gentile*, „Archives de Philosophie“, v. IX, c. III (1932), str. 276.

Z tego — z konieczności zbyt zwięzłego — przeglądu, łącznie z innymi faktami historycznymi, które w związku z nim mogą się uprzytomnić, dadzą się wyprowadzić pewne wnioski. Naprzód ten, że istnieje niezaprzeczalny wpływ koncepcji filozoficznych na życie jednostek i narodów. Koncepcja ciemnego filozofa niemieckiego z pierwszej połowy XIX w., która tak mocno zaciążyła nad myślą polską, okazała niezwykle żywotność: powołują się na nią dwie odrębne, przeciwstawne sobie interpretacje świata i celu ludzkiego życia; w wieku XX jedna z nich stała się źródłem dynamizmu komunistycznego, druga — dynamizmu faszystowskiego. Że nie są to jedynie teoretyczne kontrowersje — dowodem tragedia Hiszpanii. Gdyby pogląd na świat był sprawą wyłącznie intelektu ludzkiego, wystarczyłaby zapewne dysputa, przeprowadzona przez czołowych filozofów obu stron, pod ścisłą kontrolą logików. Ale koncepcja celu życia — ta „mądrość“, o której pisze B. Russell we wstępie do książki p. t. „The Scientific Outlook“ — wiąże się z całą istotą człowieka, z jego pragnieniami i instynktami. Według uczonego angielskiego, sama nauka takiej koncepcji nie daje i dać nie może — i dlatego rozwojowi badań szczegółowych w zakresie logiki, matematyki, fizyki i t. d. winien towarzyszyć rozwój badań filozoficznych. Bo ta „mądrość“ Russella, to właśnie filozofia, chociaż obecnie używa się i nadużywa tego terminu także w wielu innych znaczeniach. Filozofia — czyli przede wszystkim *pogląd na wszechświat, zbudowany na podstawach naukowych*.

Zmiany w postawie człowieka wobec świata są naturalną konsekwencją ewolucji ludzkiego doświadczenia; filozofowanie rozwija się w związku z tym doświadczeniem, z niego czerpiąc swą siłę i odporność. Jeżeli wciąż powtarzają się zarzuty, że poglądy na świat się zmieniają, że obok siebie istnieją sprzeczne ze sobą systematy filozoficzne i t. p., to w takich zarzutach tkwi po prostu brak zrozumienia istoty filozofii i jej roli cywilizacyjnej. Nie tylko filozofii, ale także nauk ścisłych nie wolno bezkarnie odcinać od ich źródła: od praktycznych potrzeb człowieka. Systemat filozoficzny — tak jak go tu pojmujemy — winien być badany i oceniany w związku z osobowością jego twórcy i w związku ze środowiskiem, w jakim powstał, z praktycznymi potrzebami i dążeniami ludzkimi w danej epoce rozwoju. Zbyt uczona może będzie uwaga, że nie chodzi tu bynajmniej wyłącznie o stosunki gospodarcze.

Biegunowo odmienny pogląd na filozofię jest głoszony przez obóz antyfilozoficzny; zajmijmy się teraz tym obozem. Pracownicy naukowí, tworzący „Wiener Kreis“, nie koniecznie zresztą zamieszkali w Wiedniu, powołują się głównie na E. Macha, jako na swego ojca duchowego. Mach, zasłużony zwłaszcza jako historyk fizyki, był autorem pozytywistycznej metodologii przyrodoznawstwa; jej teza naczelna brzmi m. w w ten sposób, że

t. zw. przez Macha „elementy“ wystarczają do naukowego opisu świata rzeczywistego; pozostając zatem na gruncie nauki ścisłej, nie ma potrzeby dostrzekać się poza nimi jakiegś substancji. Otaczający nas świat można opisać bez hipotezy rzeczy w sobie i Boga. Pomimo ostrzeżeń Macha, uparcie interpretuje się tę metodologię jako pewien filozoficzny pogląd na świat. Wprawdzie J. Petzoldt rozwinął myśl Macha, próbując konstruować filozofię bez pojęcia substancji, „ze stanowiska pozytywizmu relatywistycznego“³⁾, ale odpowiedzialność za to usiłowanie nie może obciążać autora „Poznania i błędu“ (*Erkenntnis und Irrtum*). „Wiedzęnczyzy“ idą również dalej niż Mach, gdy twierdzą nie tylko że w zakresie ścisłej nauki o przyrodzie wystarczają obserwacje i pojęcia fizyki, lecz także to, że poza obserwacjami i pojęciami fizyki *nie ma* żadnego świata przedmiotów rzeczywistych, nie ma nic „absolutnego“. Takie stanowisko nie jest już stanowiskiem metodologicznym, lecz ontologicznym; co innego jest przecież, gdy się mówi: „w swojej pracy zawodowej mogę się obejść bez założenia, że X istnieje“ — i gdy się mówi: „X nie istnieje“, lub: „X istnieje“. Zdaje się, że Laplace zdawał sobie sprawę z tej różnicy stanowisk, gdy rozmawiał z Napoleonem o mechanice nieba i o Bogu. Czy fizyk wierzy, czy nie wierzy w istnienie świata przedmiotów rzeczywistych⁴⁾, jest to jego sprawa prywatna; w codziennej pracy w laboratorium okoliczność ta nie odgrywa żadnej roli. A. S. Eddington, wypowiadając w *The Nature of the Physical World* (1930) pewne hipotezy o rzeczywistości fizycznej, zastrzega się, że przypuszczenia tego rodzaju stanowią przedmiot *wiary* i nikogo nie można dowodami zmusić do ich przyjęcia (rozdz. XV, *Conviction*). Sir James Jeans w książce p. t. *The Mysterious Universe* (1933) wyznaje, że nie wierzy w to, aby świat był mechanizmem; ponieważ zaś wie, że można go opisać w terminach czystej matematyki, skłonny jest traktować go raczej jak wielką myśl, niż jak wielką maszynę (rozdz. ostatni).

Przykłady te wskazują, gdzie się kończy pozytywizm, a zaczyna się metafizyka. Przeprowadzenie tej granicy jest pożyteczne choćby dlatego, że niektórzy zdeklarowani materialści chcą uchodzić nie za metafizyków, lecz za pozytywistów, niektórzy zaś pozytywiści, potępiając „bezsensowną metafizykę“, nie wahają się wygłaszać twierdzeń ontologicznych. Prawdziwy pozytywista nie ma *nic* do powiedzenia o naturze świata rzeczywistego.

Neopozytiviści stoją na stanowisku minimalizmu filozoficznego, t. j. sprowadzają filozofię z pozycji nadrzędnej w stosunku do nauk na pozycję podrzędną. Lekceważenie filozofii dochodzi do tego stopnia, że sens zagad-

³⁾ Das Weltproblem, 1921.

⁴⁾ Por.: M. Planck, Positivismus und reale Aussenwelt, 1931.

nień filozoficznych bywa naginany do wymagań sztucznego języka, konstruowanego przez logistyków. Układa się n. p. zdanie, pokrywające się m. w. z jakąś tradycyjną tezą filozoficzną; do tego zdania wchodzi wyrazy, mające pewien sens w mowie potocznej. Ale mowa potoczna (a nawet naukowa, t. j. posługująca się pojęciami o znaczeniach ustalonych, n. p. tak jak w fizyce) musi rzekomo być zastąpiona przez język symboliczny, odpowiadający wymaganiom matematycznej logiki; wobec tego zaleca się traktowanie ułożonego zdania jako postulatu, który ma nadać wyrazom znaczenia w sposób arbitralny, nie troszcząc się o ich znaczenia w zwykłej mowie ludzkiej. W związku z tą operacją może się, oczywiście, zmienić sens zagadnienia; ale to podobno nic nie szkodzi, bo najważniejsze jest to, aby z odpowiednio spreparowanego zdania początkowego precyzyjnie wysnuć logiczne konsekwencje⁵⁾.

To czysto formalne stanowisko wobec zagadnień filozoficznych równa się zupełnej negacji filozofii. Tradycyjne zagadnienia gnoseologiczne i metafizyczne, wciąż domagające się nowych rozwiązań, zgodnych ze stanem doświadczenia ludzkiego, stają się w takim ujęciu jedynie materiałem do ćwiczeń seminaryjnych z logiki. Ale jeżeli logika matematyczna ma do ofiarowania filozofii nieskazitelną formę tylko wzamian za treść, to jest to dar Danaów, z którego należy raczej zrezygnować. Nie byłaby to reforma filozofii, lecz jej przekreślenie.

W najnowszych czasach daje się zauważyć pewne złagodzenie tonu; przebąkuje się już nawet wśród logistów o tym, że kto wie, czy zastosowanie naszkicowanej powyżej metody aksjomatycznej do zagadnień filozoficznych nie prowadziłoby do... wulgaryzacji tych zagadnień, do zbyt daleko posuniętego uproszczenia, przy którym mogłoby zniknąć to właśnie, co stanowi charakterystyczną *pointe* rozważanej kwestii lub koncepcji. Być może, że są to pierwsze oznaki cofania się ze stanowiska zbyt ryzykownego; bądź co bądź, jeżeli zechcemy się oprzeć na większości logistycznych enuncjacji w sprawie filozofii, musimy uznać zarówno stanowisko pozytywistów - przyrodników z Koła Wiedeńskiego, jak pozytywistów - logików warszawskich i lwowskich za zdecydowanie antyfilozoficzne, a nie tylko antymetafizyczne; to ostatecznie polegać by mogło na zwalczaniu metafizyki w dawnym znaczeniu apriorycznej nauki o absolicie — co uważałbym za słuszne.

Streszczone poglądy pozytywistów współczesnych na filozofię nie są bynajmniej czymś przypadkowym, lecz pozostają w związku z dwiema odmianami jednostronnego poglądu na naukę i metodę naukową.

⁵⁾ Por.: K. Ajdukiewicz, odczyt na Zjeździe w Pradze w 1934 r., „Przegl. Filoz.“, r. XXXVII, z. IV.

Pozytywistom przyświeca ideał jedności nauki i jedynej, uniwersalnej metody naukowej; ale podczas gdy jedna grupa podnosi do tej godności metodę ścisłego przyrodoznawstwa, druga za jedyną metodę prawdziwie naukową uznaje metodę aksjomatyczną logistyki i czystej matematyki.

Według Koła Wiedeńskiego każda nauka jest nauką o przyrodzie i posiada charakter empiryczny; wszelkie wyniki badań naukowych dadzą się wyrazić w języku fizyki; należy dążyć do zharmonizowania tych wyników w ramach jednolitej, powszechnej nauki. Czymże w takim razie jest matematyka i logika? Nie są to nauki, lecz systematy tautologii, służące do przekształcania formalnego zdań naukowych i do ustalania związków pomiędzy nimi. Twierdzenia matematyczne mają charakter czysto analityczny i nie mają nic wspólnego z fizyczną rzeczywistością; ponieważ są one zupełnie niezależne od zjawisk przyrody, doświadczenie zewnętrzne nie może ich ani potwierdzić, ani obalić. Jeżeli zatem przyjmujemy, że zdanie posiada sens wtedy i tylko wtedy, gdy jest *sprawdzalne*, to znaczy gdy można mu przyporządkować, bezpośrednio bądź pośrednio, pewne określone „dane bezpośrednie“ — to zdania systemów formalnych wypadnie uznać za zdania bezsensowne.

Ale w takim razie metoda dedukcyjna nie tylko nie byłaby jedyną metodą naukową, lecz wogóle — w swej postaci czystej — nie mogłaby być uznana za metodę naukową. Służąc tylko do przekształcania, metoda ta pomnaża ilość twierdzeń, ale nie prowadzi naprzód. Tylko metoda przyrodnicza, indukcyjno-dedukcyjna, po raz pierwszy świadomie zastosowana przez Galileusza (początek w. XVII), umożliwia rzeczywisty postęp nauki. Dodajmy, że dopiero w ostatnich czasach, w związku z odkryciami w dziedzinie mikrofizyki, uświadomiono sobie w pełni charakterystyczną dla tej metody zasadę postępowania, dotychczas stosowaną raczej intuicyjnie. Jest to *zasada sprawdzalności*, wymagająca odrzucania z nauki wszystkiego, co zasadniczo nie może być zaobserwowane. („Zasadniczo“ — to znaczy nawet w pomysłanym eksperymencie⁶⁾). Elementy niesprawdzalne (w doświadczeniu obiektywnym) mogą wchodzić do nauki tylko tymczasowo, w charakterze pomocniczych konstrukcji; nigdy jednak nie mogą się stać jej stałym i ostatecznym składnikiem. Więc np. ruch w odniesieniu do eteru musiał być wyeliminowany z nauki; zasługa A. Einsteina polegała na takim zdefiniowaniu pojęć przestrzeni i czasu, że niemożliwość ruchu bezwzględnego stała się logiczną konsekwencją przyjętych założeń. Ostatecznie w nauce ścisłej można mówić sensownie tylko o tym, co leży w granicach doświadczenia.

Pojęcie sprawdzalności możemy jednakże rozszerzyć na zdania z dzie-

⁶⁾ H. Dingle, The New Age in Physics, „Nature“ z 4 maja 1935 r.

dziny matematyki i logiki. Sprawdzić, to znaczy w tym wypadku sprawdzić dane zdanie do układu aksjomatów, *dowodząc* w ten sposób jego poprawności w systemie. Dowodzenie jest czystym rozumowaniem, podczas gdy sprawdzania tezy, przyjętej na próbę w nauce empirycznej, nie można zredukować do samego rozumowania. Godząc się na szersze znaczenie pojęcia sprawdzalności — empirycznej, bądź formalnej — otrzymujemy podział nauk na dwie równouprawnione klasy, różniące się sposobem sprawdzania poprawności wchodzących w ich skład zdań, czyli sposobem ich uzasadniania⁷⁾. Pierwsza klasa nauk — to nauki *formalne*, posługujące się metodą dedukcyjną; druga klasa — to nauki *realne*, stosujące w szerszym bądź węższym zakresie metodę przyrodniczą, w której indukcja łączy się z dedukcją⁸⁾. Twierdzenia nauk formalnych mają cechę *konieczności* w granicach całokształtu różnorodnych założeń i umów danego systemu, ale stanowią niejako łańcuch w sobie zamknięty, bez kontaktu ze światem rzeczywistym, niezależnym od ludzkiego umysłu; zdania, ustalone w naukach realnych, jako prawa przyrody (w szerszym znaczeniu), wprost przeciwnie, odnoszą się do świata rzeczywistego, ale kontakt z tym światem okupują tym, że mogą być tylko mniej lub więcej *prawdopodobne*, nigdy — ściśle biorąc — całkowicie pewne, a tym mniej konieczne. Tak więc wiedza ludzka, poznanie naukowe, zawsze podlega ograniczeniu: wiedzę konieczną człowiek może zdobyć tylko zamykając się w granicach własnego umysłu; poznając od umysłu niezależny świat zjawisk i przedmiotów rzeczywistych, musi się zadowolić mniejszym lub większym stopniem prawdopodobieństwa.

Dawna metafizyka miała dawać wiedzę pewną o rzeczywistości, a więc łączyć dodatnie strony obu rodzajów poznania naukowego. Tego typu racjonalistyczna ontologia jest urojeniem. Filozofia teoretyczna, a więc przede wszystkim *gnoseologia i metafizyka, odnosząc się do rzeczywistości, może zawierać, podobnie jak przyrodoznawstwo, wiedzę jedynie prawdopodobną*.

Pomiędzy metodą przyrodniczą a metodą filozofii zachodzą jednak, obok podobieństw, ważne różnice. *Metoda filozofii jest odrębną metodą naukową*; ten punkt, obok roli cywilizacyjnej filozofii, obok jej *wartości życiowej*, praktycznej — chciałbym szczególnie podkreślić w tym referacie. Moje stanowisko ma pewne punkty styczne z pragmatyzmem C. S. Peirce'a, W. Jamesa i F. C. S. Schillera — w węższym znaczeniu pewnej metody filozofowania (a nie w sensie teorii prawdy!). Być może, że z czasem utrwali

⁷⁾ Por.: K. Twardowski, O naukach etc., art. w „Głównych kierunkach filozofii“, wypisach K. Ajdukiewicza, Lwów 1923.

⁸⁾ Ob. art. autora: Indukcja i dedukcja w badaniu zjawisk przyrody, „Szkice filozoficzne“, Warszawa 1935.

się przekonanie, że ci uczeni byli dla metody filozofii tym samym, czym był Galileusz dla metody przyrodoznawstwa.

Narzucanie filozofii metody jakiejkolwiek innej nauki jest takim samym błędem, jakim były próby niewolniczego naśladowania laboratoryjnych metod fizyki w psychologii, albo metody geometrii w etyce. Powodzenie pewnego sposobu postępowania na jakimś terenie nie daje wcale gwarancji powodzenia na innym terenie. Uniwersalnej metody naukowej nie ma tak samo, jak nie ma uniwersalnego lekarstwa. Do skutecznego zajmowania się filozofią potrzeba też odmiennego przygotowania, niż do zajmowania się jakąkolwiek nauką szczegółową. Filozof współczesny powinien n. p. dokładnie znać i rozumieć wyniki badań nauk ścisłych, zwłaszcza fizyki. (Nie każdy zresztą fizyk ma dane do tego, aby filozofować). Bez znajomości aktualnego stanu wiedzy o świecie rzeczywistym nie można przystępować do budowania filozofii.

Z drugiej strony, największa nawet erudycja, sama przez się, do zbudowania wartościowej filozofii nie wystarczy. Kto nie chce ograniczyć się do pracy przygotowawczej, do gromadzenia materiałów do filozoficznej syntezy, lecz chce się pokusić o samą syntezę, musi posiadać — obecnie tak samo, jak przed 25-u wiekami — *umysł twórczy*.

Twórczość w filozofii odgrywa rolę o wiele większą, niż w naukach matematycznych i naukach przyrodniczych. Nie chodzi tu bowiem o odkrycie nowych kombinacji i związków pomiędzy znanymi elementami, lecz o koncepcję *natury* (istoty) samych *elementów* i o nowy *obraz całości*. Operując możliwościami, filozof wychodzi poza metodę przyrodniczą; odwołując się do intuicji, wychodzi poza metodę aksjomatyczną nauk dedukcyjnych; w obu wypadkach musi iść dalej, niż uczony specjalista — fizyk, bądź matematyk. Podstawą metafizyki, we współczesnym znaczeniu tego terminu, są nauki oparte na doświadczeniu (co rozumiał już G. T. Fechner); ale do niczego nie doprowadziłyby mechaniczne zestawianie i porządkowanie faktów przyrodniczych, próbowanie na chybi trafi rozmaitych kombinacji. Punktem wyjścia dla rasowego filozofa była i pozostanie — (nie obawiajmy się tego wyrazu!) — *wizja całości*, t. j., mówiąc schematycznie, jakiś obraz zrazu zamglony na obwodzie, ale z *jednym jasnym punktem w ognisku*. Tym jasnym punktem dla Talesa z Miletu było, jak się zdaje, przeświadczenie, że *jedyny* pierwiastek wszechrzeczy jest analogiczny do wody; było nim „cogito“ dla Descartesa, „Wille“ dla Schopenhauera, „élan vital“ dla Bergsona. Bez twórczego pomysłu, jako punktu wyjścia (a nie jako definitywnego rozwiązania zagadki!) nie może być naukowej teorii, tym więcej filozoficznej syntezy. Ale na momencie olśnienia, natchnienia lub objawienia (jakkolwiek zechcemy to nazwać) rola filozofa w tworzeniu syn-

tezy bynajmniej się nie kończy; wprost przeciwnie: jeżeli pominąć pracę przygotowawczą, zastosowanie naukowej metody w filozofii *zaczyna się* dopiero po pojawieniu się nowego pomysłu.

Każda hipoteza przyrodnicza musi być sprawdzona — pośrednio lub bezpośrednio — przez zestawienie z danymi doświadczenia. W filozofii takie sprawdzenie jest niemożliwe; w przyrodniczym znaczeniu koncepcje filozoficzne są niesprawdzalne. (Niesprawdzalne są również w znaczeniu możliwym do przyjęcia dla nauk apriorycznych, filozofia ma być bowiem teorią świata rzeczywistego). Więc gdybyśmy metodę przyrodniczą chcieli uważać za jedyną metodę naukową, musielibyśmy, wzorem Koła Wiedeńskiego, wysnuć wnioszek o „bezsensowności“ wszelkiej metafizyki. Nie ma jednak żadnej poważnej racji do takiego zacieśniania pojęcia „sprawdzenia“. Pojęcie to ma odmienną treść w metodzie nauk przyrodniczych, w metodzie aksjomatycznej i również odrębną treść w metodzie filozofii.

Sprawdzić pewną koncepcję filozoficzną, dotyczącą bądź natury zjawisk, bądź całości świata, to znaczy, 1-o, stwierdzić, czy współczesny stan badań naukowych na taką koncepcję pozwala, t. j. czy nie ma sprzeczności pomiędzy nią i jej konsekwencjami z jednej, a faktami naukowymi z drugiej strony; 2-o, poddać ją „próbie życia“. Podobnie jak przy sprawdzaniu hipotez przyrodniczych, próby te nie mają nigdy charakteru ostatecznego — ale z odmiennego powodu. Gdy hipotezie przeczą fakty, upada bezapelacyjnie, bo świadectwo zmysłów musimy w tym wypadku uznać za kryterium rozstrzygające; ale kiedy fakty ją potwierdzają, pozwalając na utrzymanie jej w nauce, trzeba zawsze liczyć się z tą możliwością, że zaprzeczą jej nowe odkrycia; sprawdzenie jest tu zawsze możliwe do przeprowadzenia, ale tylko w takim warunkowym charakterze. Z koncepcjami filozoficznymi, które chcemy zestawiać dla sprawdzenia ze współczesnymi twierdzeniami naukowymi, sprawa przedstawia się o tyle inaczej, że mogą się one znajdować *poza* granicami stosowalności tych twierdzeń naukowych. W nauce rozróżniamy składniki stałe i zmienne: do pierwszych należą n. p. w fizyce prawa, do drugich — teorie, różne pomocnicze fikcje i t. p. Jeżeli pewna koncepcja filozoficzna jest sprzeczna z panującymi w nauce teoriami, nie stanowi to dla niej wyroku śmierci, choć rozstrzyga zazwyczaj o jej niepopularności w kołach uczonych. Tak n. p. koncepcja wolności woli była w sprzeczności z mechanistycznym przyrodoznawstwem; obecnie sytuacja się zmieniła na jej korzyść. Niedorzecznością byłoby utrzymywać, że współczesna fizyka *dowodzi* wolności woli w przyrodzie; ale trzeba stwierdzić, że dawnej sprzeczności już nie ma i że według stanu nauki współczesnej obie możliwości są dopuszczalne. Nauka ścisła zgłasza w pewnych wypadkach swe *désintéressement*, wybór pozostawiając filozofom. Stanowczy wyrok

potępienia należy więc wydać na koncepcję filozoficzną wyłącznie wtedy, gdy przeczy ustalonym w nauce *prawom*, lub oczywistym *faktom*. Nie należy tylko mieszać faktów naukowych z przesadami potocznego mniemania, czyli *common sense'u* (jak się to zdarza n. p. niektórym „wolnomyślicielom“).

Jeżeli koncepcja filozoficzna pomyślnie przeszła przez „próbę naukową“, z kolei musi przejść przez „próbę życia“; cóż to znaczy? Może to znaczyć naprzód, że sam twórca systematu stara się kształtować swe życie podług zasad, wpływających z tego systematu; albo też, że zgodnie z zasadami pewnej filozofii ma się kształtować życie całych zbiorowisk ludzkich. Próby takie nie są decydujące, ale mogą mieć dużą wartość, jeżeli prowadzą do stopniowego poprawiania systematu, przez przystosowanie go do faktów przeoczonych. W podobnym sensie można mówić o sprawdzaniu pewnych teorii społecznych. Gdy np. B. Russell wyobraża sobie, jak wyglądałoby społeczeństwo, zorganizowane ściśle według zasad nauki, bezwzględnie racjonalnie, z pominięciem wszelkich tradycji i sentymentów, to się okazuje, że życie takiego społeczeństwa byłoby naogół okropne. Próby dokonane w tym duchu w Rosji bolszewickiej, jakkolwiek niezupełne, zdają się ten wniosek całkowicie potwierdzać. Ujemne wyniki gigantycznych eksperymentów Lenina i Stalina nie dowodzą wprawdzie, same przez się, fałszywości zasad materializmu dialektycznego, ale w każdym razie nie dają argumentu na korzyść filozofii, stanowiącej ich podstawę i uzasadnienie.

*

Zwróćmy się teraz do omówienia zadań syntezy filozoficznej. — Jednym z niewielu jasnych punktów na ciemnym tle naszych niedorzecznych, zbrodniczych czasów są badania uczonych i dokonywane przez nich odkrycia. Wśród aktualnych zagadnień naukowych nie brak zagadnień o charakterze filozoficznym. Wymienić należy przynajmniej badania fizyków w skali mikrokosmicznej, badania astronomów (dotyczące budowy Wszechświata) i prace biologów-genetyków.

Pojęcie nieciągłości, nieznanie dawnej fizyce pól, coraz większą odgrywa rolę w fizyce współczesnej: wprowadzone przez Plancka w 1900 r., w 1917 r. zostało rozciągnięte na całą dziedzinę promieniowania przez Einsteina, a materii przez de Broglie'a około 1925 r. Z założenia Plancka wyprowadzono stopniowo wszystkie konsekwencje. Okazało się, że w mikrokosmosie rządzą prawa prawdopodobieństwa. Odkrycie to rzuciło nowe światło na zagadnienie przyczynowości w fizyce, zmuszając do rewizji zasadniczych pojęć, używanych na terenie tej nauki, m. in. (o czym już wspomniałem) pojęcia czasu. Co n. p. znaczy „obiektywny“, skoro w skali mikrokosmicznej granica pomiędzy obserwatorem i przedmiotem obserwo-

wanym nie jest ostra, lecz zatarta? Co to jest „pomiar“ i kiedy jego wynik można uważać za „oznaczony“? Co należy rozumieć w fizyce przez „prawdopodobieństwo“ zjawiska, w jakich granicach znajduje w niej zastosowanie statystyka? Jak widać z tego (zresztą niekompletnego) wyliczenia, zostały poruszone podstawy nauki ścisłej, najgłębsze jej fundamenty. Świat okazał się znacznie bardziej skomplikowany, niż sądzono w wiekach ubiegłych; na niektórych uczonych w. XX-go świat sprawia nawet wrażenie chaosu. Wrażenie to możnaby usprawiedliwić, gdyby było prawdą, że z teorii kwantów płynie ta konsekwencja, że wychodząc z tych samych warunków początkowych, można otrzymać różne wyniki. Tak jednakże nie jest: dowiedzieliśmy się tylko, że dane, które uważano za konieczną podstawę przewidywania przyszłości, są nieosiągalne; wobec tego nigdy nie mamy pewności, że powtarzamy doświadczenie w ściśle tych samych warunkach, nie mając zresztą pewności, że powtarzamy je w warunkach odmiennych. Wobec nieokreśloności warunków początkowych, zagadnienie przyczynowości w skali mikrokosmicznej stało się dla fizyka zagadnieniem bez treści.

Badania w skali kosmologicznej rzuciły nowe światło na budowę Wszechświata. Według jednej z hipotez de Sittera, Wszechświat jako całość kolejno rozszerza się i kurczy, jakby pulsując. Być może zresztą, że pulsuje tak sama przestrzeń. Centralnym ciałem Wszechświata jest zapewne nasza Galaktyka, czyli układ Drogi Mlecznej, otoczony olbrzymią ilością odosobnionych światów, zwanych mgławicami pozagalaktycznymi; pomijając skalę tej całości, wyrażającą się w milionach lat światła, oraz to, że każdy ze światów - satelitów składa się z milionów gwiazd, schemat ten nie różni się zasadniczo od układu Słonecznego, od uproszczonego modelu atomu i t. p.: wszędzie spotykamy ciało centralne, otoczone mniejszymi, wirującymi ciałami. Przez nieskończoną różnorodność zjawisk i rzeczy przebiega jedność planu. Warto też zaznaczyć, że nowoczesna astronomia potwierdza dawne przypuszczenie, że życie jest w materialnym Wszechświecie zjawiskiem wyjątkowym.

W naukach biologicznych brak dotąd uogólnień, które możnaby porównać z uogólnieniami Newtona, Einsteina, Jeans'a, Lemaître'a. Pomimo prac Darwina i Mendla, oraz ich następców, nie znamy istoty dziedziczności i nie rozumiemy zmienności gatunków. Driesch i inni neowitaliści występują przeciwko pogładowi, że dokładne zbadanie fizycznych i chemicznych warunków życia ostatecznie doprowadzi do wyjaśnienia jego pochodzenia i istoty; fakt życia, podobnie jak fakt świadomości, jest według doktryny witalistycznej niesprowadzalny do faktów prostszych. Wiele światła na życie świadome w przyrodzie rzucają coraz lepiej się rozwijające badania nad psychologią zwierząt (u nas T. Garbowski i jego uczniowie).

Oto kilka przykładów rozwiązanych i nierozwiązanych jeszcze zagadnień naukowych, mających znaczenie dla budowy współczesnego poglądu na świat. Na Zachodzie istnieje żywa współpraca przedstawicieli nauk ścisłych z pracownikami na polu teorii poznania i metafizyki; sygnalizuje ją i dobitnie podkreśla n. p. jubileuszowy zeszyt „Nature“ (ang.) z maja r. ub.:

„...Te dwie dziedziny myśli — t. j. nauki ścisłe i filozofię, czytamy w artykule wstępnym — uważa się obecnie za uzupełniające się nawzajem“. — „Pogląd, że jedynym zadaniem nauki jest odkrywanie i badanie faktów, bez względu na filozoficzne i etyczne konsekwencje zdobywanej wiedzy, doznał w licznych umysłach wielkiej modyfikacji“.

Uczony - specjalista nauczył się więc cenić badania filozoficzne, a filozof — liczyć się z wynikami badań naukowych. Utrwała się też przekonanie, że dla uczonego nie może być rzeczą obojętną, czy jego odkrycia nie zostaną użyte źle, czy nie będą wyzyskane na szkodę ludzkości — materialną, lub moralną. Przynajmniej na Zachodzie takie przekonanie ugruntowuje się coraz mocniej.

W jaki sposób naukowe pierwiastki — tego rodzaju, jak przytoczone tu dla przykładu — stają się składnikami filozoficznego poglądu na świat? Naprzód poddaje się je *analizie i krytyce* ze stanowiska logiki formalnej i teorii poznania, t. j. bada się ich wewnętrzną spójność i konsekwencję, pochodzenie i rolę użytych pojęć, stosunek osiągniętych wyników do zastosowanych środków, a więc n. p. rolę obserwacji, eksperymentu i rozumowania w danej pracy uczonego. Następnie ustala się stopień prawdopodobieństwa wyników (oczywiście nie ilościowo, lecz w zestawieniu n. p. z „konkurencyjną“ teorią) i oznacza się ich miejsce wśród zdobyczy naukowych na odpowiednim odcinku badań. *Hierarchia* wyników, czyli ich stopniowanie, umożliwiające odróżnienie istotnych, niekiedy przełomowych, odkryć lub idei od rezultatów mniej ważnych (z filozoficznego punktu widzenia), gra rolę bardzo doniosłą przy wszelkich próbach syntezy, ale jest — oczywiście — nie łatwe do ustalenia. Potrzeba tu bowiem (pomijając inne warunki) pewnej perspektywy, neutralizującej sugestię reklamy i mody na pewne poglądy.

Do syntezy filozoficznej doprowadzić nie może nie tylko proste zestawianie ze sobą faktów naukowych; nie wystarcza również ustanawianie hierarchii rezultatów badań, po krytycznym zanalizowaniu w celu oceny ich wartości i znaczenia filozoficznego. Zasadnicza idea syntezy musi się pojawić w błysku *intuicji twórczej*; jest to zjawisko nie częste, niewątpliwie zresztą rzeczywiste. Opisana praca przygotowawcza sprzyja zjawieniu się idei naczelnej, stanowi nawet może konieczny, choć niewystarczający warunek powstania koncepcji jakiejś zasady stawania się, wspólnej podstawy

wszystkiego, co rzeczywiste i t. p. Około idei naczelnej, jako ośrodka tworzonego obrazu rzeczywistości, grupować się dopiero mogą fakty naukowe, stosownie do swej wagi i znaczenia. Jeżeli na tej drodze udaje się utworzyć całość pozbawioną sprzeczności, chociażby daleką od ideału logistycznej precyzji, w tym wypadku nieosiągalnej i niekoniecznej, wolno uznać, że podstawy systematu zostały naukowo sprawdzone i ugruntowane.

W filozoficznym poglądzie na świat odróżniamy więc dwa czynniki zasadnicze: niesprawdzalną (w sensie przyrodniczym) hipotezę, dotyczącą — jeżeli chcemy użyć starego terminu — istotnego „pierwiastka wszechrzeczy“, oraz zgrupowane około tej hipotezy, powiązane z nią harmonijnie, najdonioślejsze wyniki współczesnej wiedzy naukowej o świecie rzeczywistym. Pierwszy jest czynnikiem wiary, *subiektywnej wiary* twórcy nowego obrazu rzeczywistości; drugi jest czynnikiem *obiektywnej wiedzy* danej epoki. O słuszności zasadniczej idei, n. p. idei rozwijania się rzeczywistości przez przeciwieństwa, o trafności pomysłu, mającego stanowić podstawę systematu, jego twórca nie może nikogo przekonać obiektywnymi dowodami; próby, przedsiębrane w tym kierunku, wypadną zawsze niejasno i błado; sam jednak filozof niezachwianie wierzy w prawdziwość swej koncepcji, opierając się na fakcie własnego przeżycia nowej wizji świata. To doświadczenie wewnętrzne (mające niekiedy charakter doświadczenia religijnego) leży zawsze u podstaw systematu filozoficznego.

Takie są zasadnicze cechy filozoficznego poglądu na świat, rozpatrywanego jako całość organiczna; cóż można powiedzieć o charakterze syntezy wyników nauk szczegółowych, stanowiącej integralną część nowoczesnego systematu? Musi się na niej odbić osobowość filozofa, jego sposób „reagowania na świat“ lub „odczuwania rzeczywistości“. Jeżeli bowiem ośrodkiem syntezy jest oryginalna idea twórczego, niekiedy genialnego umysłu — pomyślmy tu, dalej wstecz nie sięgając, o Fechnerze, Spencerze, Bergsonie — to z konieczności wybór faktów i ich interpretacja będzie dokonywana w świetle tej idei. Tylko w ten sposób może powstać całość organiczna, harmonijna, a więc piękna, nieraz porywająca — zdolna do oddziaływania, pobudzania, rodzenia czynów; ale, tym trybem powstając, synteza filozoficzna nie będzie nigdy tworem bezosobowym, oderwanym od epoki i środowiska. Synteza filozoficzna wychodzi zawsze poza naukę (w ścisłym tego słowa znaczeniu), wprowadzając pierwiastki niesprawdzalne, intuicyjne, subiektywne — nie jako składniki przejściowe i pomocnicze (jak n. p. w fizyce), lecz jako składniki stałe i istotne. Tylko za tę cenę można tej syntezy dokonać — i pod tym względem nic się nie zmieniło od filozofów jońskich. Uznając wartość filozofii dla życia, nie zgodzimy się z pozytywistami, że należy się wyrzec tworzenia takich nienaukowych, metafizycznych

syntez. Potrzebę uzupełnienia współczesnej wiedzy ścisłej pewnymi hipotezami, służącymi do powiązania jej wyników w całość harmonijną i uczy-nienia jej przez to wartością życiową — uznają tacy najwybitniejsi uczeni naszych czasów, jak Russell, Jeans, Eddington, Driesch. Wyrzeczenie się filozofii bywa zresztą zawsze pozorne; sprawdziło się to raz jeszcze na przykładzie neopozytywistów wiedeńskich.

Współczesne zadania filozofii nie są i nie mogą być z gruntu inne, niż były dotychczas; chodzi tylko o podkreślenie tego, co obecnie wysuwa się na plan pierwszy. Zadania filozofii można podzielić na *obronne* i *konstruktywne*. Filozofia musi się bronić przed zakusami nauk, usiłujących narzucić jej swe punkty widzenia i swe metody, oraz przed tendencjami minimalistycznymi do przekształcenia jej w taką lub inną szczegółową dyscyplinę naukową z pominięciem najistotniejszych zagadnień, jako rzekomo „bez-sensownych“. Ale jest zarazem jej obowiązkiem *sformułowanie zasad własnej metody*; uświadomienie sobie tej konieczności zbiega się z trzechsetną rocznicą dwu dzieł o przełomowym znaczeniu dla metodologii nauk: Kartezjusza „Discours de la méthode“ (1637) i Galileusza „Discorsi e dimostrazioni matematiche intorno a due nuove scienze“ (1638). Dwa dalsze, kapitalne zadania filozofii, to *praca krytyczna u podstaw nauk*, przygotowująca syntezę przez precyzowanie pojęć i ujawnianie założeń⁹⁾, — oraz *dążenie do syntezy* przez analizę i krytykę wyników pracy uczonych - specjalistów i ustanawianie hierarchii tych wyników z filozoficznego punktu widzenia.

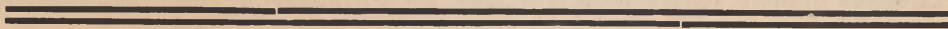
Dodajmy, że potrzeba filozoficznej syntezy zdaje się być bardziej paląca dziś, niż kiedykolwiek. Określenie celów i ideałów życia jest szczególnie niezbędne w czasach, kiedy różnorodne potężne środki techniczne, cudownie pomysłowe i precyzyjne przyrządy i maszyny wyrastają niejako ponad człowieka, przygłuszając jego wyższe aspiracje, życie zaś, nedorzecznie skłócone, zgiełkliwe, pośpieszne, najczęściej bywa bądź puste, bądź skażone przez zbrodnie i szaleństwa.

Nauka uniezależnia człowieka od przyrody, zapewnia panowanie nad nią; oszczędzając naszą energię fizyczną, wyzwala energię duchową. Niezmiernie cenna to zdobycz — ale istotny postęp ludzkości zależy od tego, ku czemu człowiek obróci wyzwolone siły. Władza nad przyrodą powinna być użyta dla celów postępu nie tylko materialnego, ale przede wszystkim duchowego. Koniecznym warunkiem postępu ludzkości jest zrozumienie sensu i celu życia i szacunek dla wartości moralnych, jako tego, co człowiek po-

⁹⁾ Filozofia matematyki bywa też zwana metamatematyką, filozofia logiki — metalogiką. Nazwy te są niefortunne — należałoby bowiem również filozofię fizyki nazywać metafizyką, ale na to nie można by się zgodzić, bo przecież ta nazwa od wieków oznacza ogólną wiedzę o rzeczywistości czyli bycie (inaczej: ontologia).

siada najlepszego w swej duszy. Gdy tego szacunku zabraknie, nauka, zamiast błogosławieństwem, może się stać dla ludzkości klęską, jako narzędzie najstraszliwszej tyranii; najstraszliwszej, bo w bezwzględny zmechanizowaniu i rzekomo racjonalnym ujednostajnieniu życia zabijającej *osobowość* człowieka. Więc najważniejszy problemat, jaki ma rozwiązać współczesna synteza filozoficzna, można sformułować m. w. w tych słowach: jak pogodzić pewien rozsądny stopień mechanizacji i schematyzacji życia, nieuchronny (w stopniu umiarkowanym!) wynik postępu techniki, opartej na odkryciach naukowych — z wartościami wewnętrznymi i duchowymi aspiracjami człowieka? Albo inaczej: *jak zharmonizować proces racjonalizacji życia na podstawach naukowych z zachowaniem najwyższych wartości duchowych*, które ludzkość wypracowała — i z dalszym pomnażaniem tych wartości? Jak zachować niezależność wewnętrzną i godność ludzką w ramach koniecznej organizacji — jednostki w państwie, narodu w ludzkości?

W przełomowych czasach obecnych filozofia powinna znowu mieć ambicję odegrania swej roli dziejowej. Nie poczuwając się do obowiązku szukania drogi wyjścia z ideowego chaosu, filozofowie przyczyniliby się do bezwładnego staczania się ludzkości w jakąś przepaść i do upadku zachodniej chrześcijańskiej cywilizacji. Tymczasem, jak się zdaje, można go jeszcze odwrócić; wkrótce może już być — za późno.



S Z T U K A

ZYGMUNT WALISZEWSKI

Z grona modernistów polskich ubyla znowu jedna wysoce wartosciowa jednostka. Wprawdzie „śmierć — to zwykła rzecz“, ale śmierć artysty w połowie jego dni, w momencie niezupełnie osiągniętych zamierzeń, nierozwiązanych zagadnień i realizacji twórczych — wywołuje w nas zawsze bunt przeciw tragicznej przypadkowości losu. A los ten nie oszczędził ś. p. Waliszewskiemu niczego, co tylko kruchą powłokę cielesną człowieka zgniebić może do cna. Straszliwa choroba pozbawiła go obu nóg, ukazując w koszmarniej perspektywie dalsze etapy śmiertelnych powikłań. Mimo to Waliszewski uśmiechał się i z wiarą i entuzjazmem wyciągał ręce do nas, do słońca, do sztuki, do przyszłości. Był jednym z tych, którzy mimo wszystko wierzą w dobre strony egzystencji ludzkiej i było mu z tym dobrze w gronie najbliższych, patrzących na to jego ciche bohaterstwo z niekłamany podziwem:

Ale srogi los kaleki, pozbawiający go zwykłych, codziennych uciech i uśmiechów życia, nie odebrał mu radości tworzenia. To mu na pociechę pozostało. Tym więcej skupił się w sobie, tym rychlej dojrzał i zmęźniał w swej sztuce, a przykuty chorobą do swego fotela, jak skazaniec do tacek — wyrobił w sobie osobliwy instynkt widzenia i odczuwania świata. Ów świat załamywał się w psychice tego artysty w przedziwny sposób. Jeszcze za czasów studiów krakowskich w Akademii, kiedy Waliszewski uczęszczał na kursy prof. Weissa, podziwiałem nieraz młodzieńcze prace tego artysty. Przynosił mi wówczas swoje studia i szkice do przyjacielskiej oceny i niezmiernie był uradowany, gdy sąd mój wypadł dla niego korzystnie. Były to początkowe próby malarskie, gdzie szczerą naiwność układu i formy walczyła o lepsze z niezwykle intuicją ikonograficzną. Waliszewski przerastał wówczas o głowę swych kolegów z Akademii samodzielnością i oryginalnością w odczuwaniu zjawisk i w znajdowaniu dla nich artystycznego odpowiednika.

Kulturalna atmosfera ambitnego Krakowa podminowana była wówczas rozgwarem zaciętej walki formistów z epigonami „Młodej Polski“, goniącymi resztkami swego, mocno przez nowatorów podważonego, autorytetu. Formiści mieli wtedy całą studiującą w Akademii młodzież za sobą, a profesorowie tej uczelni, zahukani przez światoburcze manifesty formistów, czuli się nieraz wśród uczniów bardzo nieswojo. W walce tych dwóch biegunowo przeciwnych światopoglądów zahartowało się młode pokolenie polskich artystów, gdyż przyznać to trzeba, że Waliszewski w swych sympatiach dla formizmu nie był bynajmniej odosobniony.

W tym czasie przybył do Krakowa prof. Pankiewicz. Jego niesłyszany takt i powaga w obcowaniu z ludźmi, a przede wszystkim głęboka wiedza i doświadczenie, nabyte w długoletnim obcowaniu z najwyższą kulturą plastyczną świata, zjednały mu odrazu liczne grono zdecydowanych wielbicieli, wpływając równocześnie uspokajająco na roz-

egzaltowane umysły młodych elewów. Bo klimatem pracowni prof. Pankiewicza jest entuzjazm, nie egzaltacja — entuzjazm „na zimno”, pozbawiony całkowicie fałszywego patosu i sztucznych uniesień.

W tej to atmosferze zaczął dojrzewać ważki talent Waliszewskiego. Kierunek myślowy, nadany przez prof. Pankiewicza i twarda dyscyplina pracy malarskiej pod okiem tego wybitnego pedagoga, wywarły stanowczy wpływ na świeży umysł młodego malarza. To już nie szturmujące niebo manifesty „futurystyczne”, ale świadoma i celowa praca fachowa, oparta o muzea i świeżą tradycję przodowników wielkich przemian w malarstwie francuskim ostatniej doby. Wyjazd do Paryża i ośmioletni pobyt w pankiewiczowskiej „majsterszuli” pogłębiły jeszcze twórcze aspekty Waliszewskiego i jego kolegów — tak, iż znalazłszy się po tak długiej nieobecności w kraju, poczuli się niemal wszyscy całkowicie dojrzałymi artystami, co zresztą potwierdziła w zupełności ich pierwsza wspólna wystawa w Polskim Klubie Artystycznym.

„Najazd kapistów” (bo tak się nazwali młodzi artyści) na stolicę, grzęznącą coraz bardziej w kulcie dla folkloru i fałszywie pojmowanej tradycji, odświeżył nieco tę zatęchłą atmosferę, gdzie wśród niezdrowych ambicijek i efektownych gestów przeróżnych domorosłych autorytetów kształtowała się opinia o sztuce w sposób jak najfatalniejszy w świecie. „Kapiści” wnieśli przede wszystkim do warszawskiej sztuki racjonalny pogląd na malarstwo, szczerść i prostotę w odnoszeniu się do sztuki — o co zresztą autor niniejszego szkicu walczył przez dziewięć lat na łamach „Kuriera Porannego” i „Drogi”, odosobniony i niemal wyklęty przez społeczność warszawską.

Na wystawach zrzeszonych „kapistów” obrazy Waliszewskiego od razu zwróciły powszechną uwagę swą bogatą treścią plastyczną i zdumiewającą równowagą między elementami formy i barwy. Wyróżniał się on wśród nich przede wszystkim daleko posuniętym wyczuciem formy, która, wyrażona przy pomocy koloru, po męsku i zdecydowanie, zapewniała jego kompozycjom zwartą organizację ikonograficzną — w przeciwieństwie do barwnych igraszek „czystego” impresjonizmu. Nie darmo Waliszewski współpracował ideowo z formistami, którzy zresztą, chcąc nie chcąc, mieli wiele punktów stykowych z impresjonizmem, a zwłaszcza z jego ostatnią fazą przejściową. Tak więc obrazy zmarłego przedwcześnie artysty stały się niejako symbolem przymierza między starszym a młodszym pokoleniem polskich modernistów.

W chwili kiedy to piszę, dowiedziałem się z komunikatu Związku Zawod. P.A.P. o organizowaniu się Tow. Przyjaciół Twórczości Zygmunta Waliszewskiego. Pierwszą czynnością tego towarzystwa będzie zapewne urządzenie pośmiertnej wystawy artysty i wydanie bogato ilustrowanej monografii. W ten sposób twórczość tej niepowspędniej indywidualności malarskiej, utrwalona w pamięci współczesnego pokolenia, znajdzie niewątpliwie godną kartę w dziejach polskiego malarstwa współczesnej doby.

Z WYSTAW WARSZAWSKICH

Warszawska Zachęta zaczęła nowy sezon interesującą wystawą artystów bydgoskich, obecnie zaś przedstawia nam jubileuszową wystawę znanej rzeźbiarki, **Janiny Broniewskiej**, oprócz kilku mniej ważnych pokazów artystycznych. Broniewska niewątpliwie posiada nieprzeciętne zdolności w operowaniu elementami plastycznymi i tam, gdzie nie traci kontaktu z przyrodą, rzeźba jej zdobywa widza bez żadnych zastrzeżeń (jak np. w świetnym portrecie głośnego rzeźbiarza francuskiego Bourdelle'a). Mniej natomiast zdolne są nas przekonać jej kompozycje fantastyczne, plastycznie nie skoordynowane i grzeszące ponadto przesadną stylizacją i niesmacznym podkreśleniem niektórych, nieistotnych szczegółów. Zdaniem moim, droga tej rzeźbiarki winna być przez królestwo

przyrody do wiecznego piękna sztuki, gdzie artysta-plastyk stwarza świat na nowo bez żadnych ograniczeń.

Zbiorowa wystawa **W. Bartoszewicza** w wielkiej sali Zachęty sprawiła nam niemały zawód, jak wszystkie niemal wystawy b. uczniów prof. Pruszkowskiego, których rozwój hamuje, niestety, brak jakiegokolwiek idei malarskiej w większym stylu. Malowidła Bartoszewicza są w barwie szare i bez wyrazu, jakkolwiek niezła jego kompozycja „Pod krzyżem“ ma niewątpliwie wiele mocniejszych akcentów malarskich, zrodzonych z podświadomego instynktu budowy. Natomiast obraz batalistyczny „Beresteczko“, malowany brunatno-czarnymi sosami, kompromituje całą wystawę beznadziejnie. Lepiej zostać pacyfistą i pozostawić tę specjalność Kossakom.

Wystawy zbiorowe zorganizowane w I.P.S-ie powinny bezwzględnie zainteresować znawców i miłośników sztuki. Na czele kroczy tu jeden z najzdolniejszych malarzy polskich, **Konstanty Mackiewicz**, jedyny w Polsce plastyk sceniczny, który nie zaniedbuje malarstwa sztalugowego, dając co jakiś czas kompozycje mocne, fakturowo niezwykle zróżniczkowane, gdzie wpływy dawnego środowiska (malarz przebywał dawniej w Rosji) krzyżują się szczęśliwie z ideami plastycznymi Zachodu. Mackiewicza znaleźmy dotychczas głównie jako malarza martwych natur, skonstruowanych ośrodkowo — podobnie jak u kubistów, o niemałej sile plastycznego wyrazu. Lawirując w sztuce między czystą abstrakcją a przedmiotowością, Mackiewicz znalazł się obecnie w domenie malarstwa kontrastowego, gdzie tworzy własną koncepcję ikonograficzną, czując się w tej postimpresjonistycznej sferze równie dobrze, jak dawniej w malarstwie abstrakcyjnym. W każdym razie udało mu się tutaj wytworzyć jednolity organizm malarski z elementów wiążącej barwy, daleki od naturalizmu, a jednak pełen czysto ludzkich przeżyć i wzruszeń, wyrażonych jedynie środkami plastycznymi, z wykluczeniem zbędnej „literatury“.

Jeden z najstarszych wiekiem malarzy polskich, **Ludomir Janowski**, znany i ceniiony w warszawskim światku artystycznym, wystąpił ze swą wystawą zbiorową, dowodząc niezbicie, że pragnie iść naprzód z młodymi i zapomnieć całkowicie o swym „sosowym“ malarstwie z okresu realizmu. Janowski znajduje się obecnie pod urokiem kulturalnej sztuki Pankiewicza, wychodząc z przedmiotu nasyczonego barwą — ale jego wizja malarska jest nieco odmienna.

Gość z Paryża, **W. Zawadowski**, od czasu swej ostatniej wystawy w I.P.S-ie znacznie wysubtelnił swoją sztukę i nadał jej więcej plastycznego wyrazu. Orkiestracje jego dużych plam barwnych, kładzionych na płótnie, zyskały na wyrazistości i harmonizują się dzisiaj znacznie pogodniej, bez „wyskakiwania“ tonów ciepłych i zimnych z ram kompozycji sztalugowej.

Znany rzeźbiarz i snycerz, prof. **Jan Szczepkowski**, w swej wystawie zbiorowej pokazał nam wiele nowych, nieznanych prac, wśród których kilka doskonałych biustów stanowi dla widza prawdziwą niespodziankę. Z tego wynika, że Szczepkowski, traktując swoje snycerstwo dekoracyjne jako sztukę stosowaną (i słusznie), nie zaniedbał również wolnej twórczości rzeźbiarskiej, znajdując ujęcie dla swego instynktu plastycznego w budowaniu rzeźbiarskiej bryły z dala od stylizacji i narzucających się w naszym środowisku motywów folklorystycznych.

W wystawie prac graficznych utalentowanego ksylografa, **S. Mrożewskiego**, nie widać żadnych poważniejszych zmian — duży natomiast krok naprzód zrobił jego kolega, **L. Tyrowicz**, którego grafika wypowiada już w całej pełni ideową postawę i estetyczne upodobania artysty, co znalazło swój wyraz szczególnie w jego tece akwafort o włoskich motywach pejzażowych.

K. Winkler

K S I A Ź K I

WSTRZĄSAJĄCY DEBIUT

Tadeusz Breza: *Adam Grywałd*.
Powieść. F. Hoesick, Warszawa, 1936.

Spokojnym i okropnym dysonansem przemówiło wreszcie pokolenie tych, co z dotkliwą ironią, bezradną trzeźwością i zduszonym sentymentalizmem dośledzić się pragną własnych, wiarogodnych rysów w spękanej skorupie nowego świata, który jakoby zapomniał zdawna o wojnie. Chaos jego trwa, a zmęczone wiry nadal unoszą trzydziestoletnich. To oni są łącznikiem między nami, którzy z wczesnej młodości pamiętamy Europę ustaloną w normach i trwałych, zdawałoby się, kanonów obyczajowych, a młodszymi od nich, co uroili sobie po chłopięcemu, że od konfliktów wyzwolić się można, prześlepiając je, że dla ocalenia samych siebie wystarczy łatwość cynizmu. „Adam Grywałd”, pierwsza powieść Tadeusza Brezy, jest na pozór tylko „historią jednej miłości”, w czystym preparacie ukazaną monografią psychologiczną wielkiego uczucia, które się rozwidla. A przecie książka ta jest czymś więcej.

Samo zagadnienie jest nieco sztuczne, a nawet wyszukane, lecz wątek fabularny prosty. Postać tytułowa, to artysta, któremu pożerająca i niezrealizowana miłość, podwiązała twórczość. Iza Mosse, przedmiot tej miłości, jest dzieckiem rodziców zdziwaczalych; niegdyś bogaci fabrykanci, obecnie, podruginowani, wiedzą życie skryte i zizolowane w napoly opustoszałym mieszkaniu w stolicy, lub też w pałacu na wsi, on, jako chimeryk, zatopiony w dyletanckich dociekaniach astronomicznych i „metafizycznych”, matka — narkotyzując się byle jaką lekturą i przywidłymi kwiatami. Iza, zerwawszy z poetą, wychodzi za mąż za cudzoziemca. W

kilka miesięcy po tym Grywałd poznaje jej brata młodszego, Edmunda, który właśnie powrócił ze studiów za granicą, i prawie bezwiednie dla niego samego następuje proces przerzutu uczuciowego na chłopca. Jesteśmy świadkami dekrystalizacji miłosnej (jakby nazwał to Stendhal) i ponownej jej krystalizacji w łożysku bocznym i odrębnym. Dla wszystkich partnerów wyzwoliny takie są dramatem, zwłaszcza jeśli zwążyć „nienaturalność” podobnego uczucia i jego złożone źródła. Dla Adama nie jest to pełnia, lecz zaledwie — nagroda pocieszenia (tak zwać się miała pierwotnie książka i taki byłby tytuł właściwy, skorygowany najwidoczniej ze względów przesadnej drażliwości).

W towarzyskiej łączności z rodziną Mosów bytuje rodzina Hozjuszów. Ci pozornie mniej są wykorzenieni. Zajmują normalną pozycję mieszczańską, ojciec jest urzędnikiem ministerialnym, który cierpi na agorafobię. Tym teroryzuje całą rodzinę, której nie wolno się wydalać poza ustalony i fikcyjny zakres jego przywidzeń. Wzorowy, nieskazitelny, bezradny starszy pan pada wreszcie ofiarą obowiązku. Wysłany z misją urzędową poza ocean, ginie, urzeczony samotną i irracjonalną trwogą chorobową, u brzegu morskiej podróży. Była to jedyna plotka, która zaskoczyła jego dzieci, jedyna wieść, której nie przewidzieli, a nawet nie docenili, tłumacząc ją sobie przypadkowym zaślabnięciem. Młodzi Hozjusze bowiem niedobry własnego życia wynagradzają sobie udoskonalonym systemem plotkarstwa, nie przestają żerować na błahych wydarzeniach i przygodnych faktach obcego istnienia. Ich wyłącznym punktem ambicji, przedmiotem ich rywalizacji między sobą i resztą bliźnich jest pragnienie, by agencja ta działała szybko i sprawnie. W taki to sposób wra-

żliwa Irenka, naiwna Zosia i lekkomyślny Zenio istnieją na koszt cudzy.

Galerię całych lub pół-dziwaków uzupełniają postaci epizodyczne, których rola nie jest jasna, ani całkowicie konieczna, prawie że zbędna; są to przede wszystkim stary Żyd Hinczka — fantasta, czerpiący pokazne zyski ze swych pomysłów, oraz syn jego, młody malarz, mierny syn „wielkiego ojca“, kochający się — jakby wbrew sobie — w Zosi. Reszta figur jest trzecioplanowa i na ogół sprawia wrażenie wyprutych resztek większej ongi całości. Nie trudno poznać z tego sumarycznego ukazania głównych wątków i figur, iż kompozycja, biorąc rzecz mechanicznie, daleka jest od doskonałości. Lecz przecież nie o to chodzi.

Chodzi o p r a w d ę tych przemian, o kolejną prawdę źródeł, ujęć i przeobrażeń, o ich wielozmienną, niejako fatalną istotę, o integralne dno, bezustannie przez czas wpływający komponowane — chodzi o to zarówno im, których dramat ten dotyczy, jak i samemu autorowi, który poprzestaje na rejestracji, na różnych wersjach i aspektach, i na nieodłącznym od nich relatywizmie. To bowiem jest skryty tragizm wszelkiej „czystej“ psychologii, iż kończyć musi zapytaniem, od którego rozpoczęła, pytaniem Piłatowym, jak widać zawsze jeszcze równie aktualnym dla niektórych pisarzy wieku XX ery chrześcijańskiej: gdzie też jest prawda? Wprawiają w ruch trybunał, lecz zabrakło im sankcji. Uchylają się od wyroku. Skazani są na immoralizm, na jego smutek i bezsilność.

I oto dzieje się tak, jakby monografista utożsamiał się z osobami, których bytowanie podpatruje z czujną, zachłanną i sarkastyczną inteligencją. Raz po raz przecina i obnaża słoje psychiczne, które nawarstwia czas; śledzi ślady i coraz głębiej daje się wciągać tym tropom. Jedyną dostępną mu postacią wiedzy jest, podobnie jak dla Hozjuszków, „przewidywanie się“ o świecie. Przeto udostępnia te swoje wieści, te z trudem odcyfrowywane szyfry, jak palimpsest, który zmienia się p o d p a l c a m i, w miarę jak się go odczytuje to-nem ścisłym, naturalnym i poufnym, tak jak się mówi potocznie w kręgu dobrych i trochę błahych znajomych. Jest zwyty do najsubtelniejszych włókien z tym światem własnego urzeczenia, i oto ukazuje, jak „zwyczajna“ taka plotka w miarę jej różniczkowania urasta do rozmiarów nieuchronnej katastrofy. Poprzez wszystkie załamania, wygięcia, refleksy, meandry tropi jedno tylko: wciąż wymykającą się p e w n o ś ć, po-

nad wszystko pragnie oczywistości. Lecz wszystkie postaci książki tej są problematyczne, by nie powiedzieć wieloznaczne; są słabi słabością nieuleczalną i ciągle przerasta ich los; jedni giną, jak stary Hozjusz, lub wypaczą się; inni zaledwo wymigują się zagładzie, jak Adam. Jedna jedyna osoba oparła się temu, gdyż „wyzwoliła się z dzieciństwa“; jest nią Iza, lecz okupuje to rezygnacją i rejteradą. Ona jest — oczywista. Lecz oczywistość ta innych — łamie.

Ludzie ci nie tylko wątpliwi są dla autora, są również dwuznacznici dla samych siebie. Z takiego wejrzenia zdaje się wyrastać dramat ogólnej niewiedzy. Im silniej przypatrują się sobie, tym mniej mogą dotrzeć do jednoznaczności. Przedmiot badania rośnie tu wraz z jego poznawaniem. Z trudem, który równy jest potępieniu, zbliżają się do „prawdy“ własnych uczuć, bezustannie zmiennej w potoku czasu. To właśnie jest „czas psychologiczny“, to jego straszliwa względność.

Właściwie oni i ich kronikarz spragnieni są wszechwiedzy bóstwa, jak ta Irenka, która „chciałaby wszystko wiedzieć o wszystkich“. Plotki te przeznaczają dla „amatorów“, równie wykorzenionych jak oni sami, i w tym przypominają artystów napoły zwicniętych, a zwłaszcza Adama, obsesjonata zwierzeń. Dla ich monografisty nawet fakty są niepewne, a coś dopiero uczucia! To też substancja psychiczna postaci tych nie tylko jest płynna, ulega ciągłym fluktuacjom, jak gdyby kolebiąc się w nadto przedłużonym i nieustalonym dostatecznie statu nascendi; nie tylko są to jednostki, które nie narodziły się w pełni, do połowy tkwiące w grzązki namule przedstworzeniowym, połączone naddartą zaledwie pępowiną ze szlamem grozy, trwogi i upojenia; nie tylko osnute są powijkami snu, pływające po wierzchu „zmierzchowej atmosfery“ lęku, niezdecydowania i chwiejnego natchnienia, jak ryby śnięte i naęczniałe; nie tylko każde z nich, z kronikarzem na czele (patrz scena toastu), rozdrapuje niedość zasklepione blizny wczesnych urazów; lecz ponadto wszyscy oni, a w każdym razie znakomita ich większość, to l u d z i e n a w i e d z e n i, z uporem bezwoli poddający się bolesnej narkozie urzeczenia. Oglądamy, jak w drwiącym pannoticum, groteskową galerię monomanów, budzących wstydlive politowanie i odruchową niechęć. Dlatego pobłażliwy humor autora tak bardzo jest melancholijny; jest to wybieg, który niejako maskować ma rozgrzeszenie — współwinowajcy.

Dzięki takiemu to oglądowi, oglądowi

współczującej bezradności, która umywa ręce, bo nie potrafi niczego stwierdzić napewno, tym samym zakwalifikować; dzięki oglądowi, który podpatruje n a r a z sieć zjawisk w genetycznej ich płataninie i nie znajduje ujścia z tej sieci, chyba przez oka półszaleństwa, będącego skorupą obronności, lub syconej lekkiem panicznym dezereji; dzięki oglądowi, wrażliwemu wyłącznie na niepojętą wicherę namiętności, drobnych pasji i despotycznych nałogów, mielących ludzi na kurzawę, otrzymujemy szczątki rozwiane trafami fatalistycznego przypadku, kalejdoskop zmienności, zależny wyłącznie od ukrytych i niezawinionych determinant, rozbite atomy ludzkie, których misterną kompozycję możemy za sprawą finezyjnej i dociekliwej analizy Brezy smakować gorzko, jak piołun. Im bardziej wiekiem posunięci są ci ludzie, im bliżsi wyzwolenia śmierci (stary Hożusz, Mosse, Mossowa i Hinczka), tym bezradniejsi wobec rozrośniętej fikcji wewnętrznej, która wraz z nimi urosła do rozmiarów wszechwładnej zmy. Autor nie próbuje ich nawet egzorcyzmować, bo i w imię czego mógłby to uczynić, dyskretnie zakonspirowany w tym mroczącym się świecie, rządzonego przez drobne demony? Wszyscy oni, podobnie jak ich kronikarz, urobili sobie pancerz ochronny, kruchy jak skorupa ślimaka i tak przejrzyści, że poprzez niego współ z czujną i nieulekłą żrenicą monografisty śledziny zatamowany ich krwioobieg, dręczące ich unerwienie. W świecie tym nie ma pełnej jawy, raz po raz komuś oczy zapadają do niepodźwignionego snu, stają w ślup i zachodzą mgłą, jak w katalepsji, somnambulicy bronią się przed zatrutą lub popełniają niesprawdzalne zbrodnie. Dławi ich sieć, którą, jak pająki, snują z siebie niestrudzenie. Sieć ta wreszcie staje się ich m i t e m, a monografia o nich — wskrzeszeniem zapomnianej legendy.

Poranieni od uczuć, klasycznie porażeni urazem! To jest epizm psychologiczny z epoki Freuda, czarodzieja, który wie zbyt wiele, aby potrafić pomóc. Dramatyczna żartobliwość autora nie wie, kiedy, mimo woli zapewne, przemienia się jakby w autoironię. Odruchy, kompensaty, analogie, zboczenia, pomyłki: taka jest zawila treść tych ram tragicznie i wzorowo prostych. Nawet Mossek, brat Izy, podany w kilkunastu subtelnych i trafnych zarysach, jest tajemniczy przez swą „nijakość“, niedostępny właśnie za sprawą swej zwykłości, która jest bliska uśpieniu, rajowi pierwotnemu, błogiemu niedobudzeniu dzieciństwa. On także osnuje

jest mgłą, zamazany tumanem, który zdaje się być przyrodzonym żywiołem ich wszystkich, w którym mijają się, napróżno wyciągając ręce, nie nie wiedząc wzajem o sobie.

Miłość Adama wtrąca tego chłopca, przeznaczonego do realnej radości, w głębszą jeszcze hipnozę. W takich to momentach, w których rozpoczyna się prawdziwy ich dramat, porzuca ich autor, zdanych już tylko na los, czyli na łańcuch splecionych determinant, które doprowadziły ich aż na ten skraj, skraj zagłady; podobnie bowiem, jak matka Joasi (kochanki przelotnej Mosska) jest ich monografista z tych dziwnych wróżbiarzy, którzy potrafią „czytywać jedynie ludzkie przeszłości“. Po omacku dotyka nacięć i szwów; jak powiernik kładzie palce przelotnie, by nie urazić, na miejsca obolałe; śledzi, jak kulturalny lekarz, z dojmującym uśmiechem, stłumiony szloch, który jest liryzmem samotnego przemijania; i t o z a s t ę p u j e m u w i e l k o ś ć.

Wszyscy oni, każde na swój sposób, są wzruszająco i boleśnie dziecinni; nawet płochy Żenio ulega infantylnym rojeniom o wszechwładztwie, o jedyności na zastygłym globie; wszyscy od świata, któremu są niepotrzebni, dezertują ku sobie, jak do ostatniego schronienia. Przeto wszyscy wreszcie zamknięci są w ów lunatyzm wnętrza, które posiada grozę własnych wód i ich niepojęte odpływy. Rozrastanie się wtórnej, homoerotycznej miłości Adama do brata Izy nie jest powtórzeniem wielkiego uczucia, nieudolnym plagiatem jeno i mimowolną karykaturą, lecz ujściem przed tym, co w tamtej wielkiej i wiedzącej miłości pustoszyło jego sprawcę, co wydrążyła jednostkę jak drzewo spróchniałe, co z wszystkiego ogołaca i wysusza jak ogień. Tragiczne i kalekie ocalenie tych, którzy próbie ognia nie sprościli. Wbrew pozorom, nie podołała jej również Iza; nie potrafiła przyjąć Adama nie dlatego, iż były w nim ciemne głębie, lecz dlatego, iż — jak wyjaśnia przy końcu — był jej „doskonale znany“, „tak jakby bardzo bliski kuzyn“; inaczej mówiąc, z tej żałosnej racji, że był z nią psychicznie spokrewniony, że był do niej podobny. Oto czemu schroniła się w ramiona pana Dieuvalse, symbolicznego c u d z o z i e m c a.

Tymi ludźmi władza niezrozumiały dla nich samych szyfr odruchów, który odczytują a posteriori, zawsze zapóźnieni, poprzez następczy i wynikowy alfabet własnych czynów. Bez ratunku zaplątani w daremnność uczuć, wydają się całkowicie naturalni, odruchowo prości. Lecz raz po raz opada ich wątpliwość i wtedy, zdumieni jak dorastają-

ce dzieci i jak one nieporadni, pochylają się nad genealogią tej fałszywej prostoty. Często za nich czyni to autor, on ich wyręcza—демиург miniaturowego świata; sprowadza wstecz „wydarzenia proste” do ich genetycznej komplikacji, bowiem tylko jako wynik zażyłości zrodzić się tu może prostota. Taka jest bezsilność tych, którzy poddali się bezwolnie, jak figurom tańca, grze instynktu, grze uśpienia i oto trwają w półkatalepsji.

Nad wszystkim panuje tu niepewność jawy. Ci, którzy umrzeć mają, pozdrawiają w wysileniu zmierzchającą realność. Osnuć szczerlnie w sieć, którą z własnego ich wnętrza snuje „los” i wokół nich mota, wpatrzyć się w rusztowania i szczeble, po których piąć się im wypada: w kunsztowną aparaturę śmierci. Wiedzą, że się lekają, ale nie wiedzą czego. Zaabsorbowani sobą bez reszty, światem odbitym, z którego nie ma ujęcia ni ratunku, uwięzieni w majakach jawy, tak wieloznacznych jak przywidzenia senne, zmuszeni są poprzestać na sobie jak Szatan. Wszyscy niemal są „des démoniaques”, a w Adamie Grywałdzie jest coś zdecydowanie licyferycznego — zwłaszcza że on jeden buntuje się bez wiary w skuteczność oporu. I w tym podobny jest do autora.

Najtragiczniejszą niezawodnie postacią jest tu Mossek (Edmund), posiada bowiem wszelkie dane, zwyczajne i ludzkie, by uzyskać szczęście, a żadnego powołania do dramatu. I oto on wciągnięty jest nie wiedzieć kiedy i całkowicie bez intencji działających w ten czarny lej, na nim to skrupiają się słabości otoczenia, on to zaznać ma przedwcześnie i niesprawiedliwie, jak gorzkie bywa szczęście. Widocznie winą, której nie wybacz mu los tych ludzi, jest to, iż z nadto jest prosty. Działa jak katalizator, tak jak zawsze działa niezafałszowana prostota: przyspiesza katastrofę. On, jedyny „szczęśliwy”, budzi w nas dojmującą litość. I wreszcie upodabnia się do innych, on, który miał czoło otwarte, bardzo chłopięco i niedołąźnie imitować zaczyna grę zatajania, tę grę, która zdradza się sama; wszyscy bowiem mają tutaj tylko półodkryte oczy i usta, twarze ich powoli stygną w maski, jakby monumentalizowały się we fryz. A fryz ten jest trup.

Zaczadzeni, spragnieni podniet jak zastrzyku, który na krótko budzi z narkozy, opanowani przez myśli natrętne, zagubieni w czeluściach trwogi, nekromanci, nałogowcy, szalbierze, bez wyjątku wszyscy mają postawę podpatrywaczy, jakby to in-

nych tał się sekret własnej ich niemocy. Grywałd, by ująć urzeczeniu, urzeka sam. Innych nie stać nawet na to, przeto wyzywają się w szpiegostwie bezinteresownym, w defektywizmie, który ma wszelkie znamiona sztuki. Wielościenni, porastający wielobokami, jak kolonie kryształów, spoglądają w lustra łamliwe, śledzą refleks padania i odbicia, jakby poprzez tafle cierpiące cudzych jaźni pragnąc dowieść sobie i przekonać, że przecie istnieją. Taki nawet jest Grywałd, który działa jak w transie, zastępującym mu jasnowiedzenie, nieomylnie i nieuchronnie. A jedyny, który się uchylił, uchylił się ostatecznie: jest to stary pan Mosse, astronom - amator, dla którego istnieć przestała empiryczna rzeczywistość. Stworzył własny kosmos, do którego inni nie posiadają klucza. Pożarła go — nadarmo śledzona przez tantych — żarłoczna chimera „wszystkiego”.

*

Z tego, co powiedzieliśmy, wynikałoby, że książka Brezy jest studium charakterologicznym, ale także czymś więcej. Daje bowiem nie tylko nowy ogład załamań i skażeń, których nikt w powojennej literaturze polskiej nie analizował tak dociekliwie, lecz zarazem usiłuje je zadokumentować. To jedno wystarczy, by tej szczególnej, dramatycznej, wzniosłej i opornej powieści wyznaczyć rangę wysoką, by uwolnić ją od nomenklatury napoly udanego eksperymentalizmu. Zapewne, poprzestaje na stanach klinicznych; lecz dla tej dysonansowej melodii stwarza z mozołem, który jest oznaką wybitnej i elastycznej kultury, właściwy i nie spotykany u nas instrument. Kondensacja stylistyczna autora, dążenie do esencjonalnej sprawdzalności spraw tak finezyjnych, że wynikają się niemal pomiarom, stwarza dookładność rejestracji, rzadko spotykaną.

Język, tak pojęty, jest językiem nawskroś apoetyckim: jest systemem znaków. Dzięki temu to do końca zachowany jest tu relatywizm wersji, problematyka wszechstronnego sprawozdania. Tu nasuwa się kilka zastrzeżeń, które tej dojrzałej książce nie pozwalają zbliżyć się do arcydzieła. Pierwsze, mniej ważne, dotyczy rozplanowania kompozycyjnego, na które tak wrażliwi są szkolarze i pedanci: nie wszystkie partie czy raczej przekroje traktowane są równomiernie, kronikarz bagatelizuje niektóre wątki lub nawet gubi je (obaj Hinczkowie), jest tak, jakby zbyt starannie i obszernie rozplanował preliminarza. Drugi, poważniejszy zarzut, postawić trzeba właśnie stylowi.

Jest niewątpliwie wysoce celowy i na swój sposób artystyczny; jest dyskretny, subtelny i zwłaszcza niepospolicie inteligentny, tym gatunkiem nawskroś zachodniej inteligencji, od którego zdawna zmuszeni byliśmy u nas odwyknąć. Lecz niewolny jest od rażących błędów językowych, syntaktycznych zwłaszcza. Specjalnie manieryczne jest nadużywanie partykuły „ni to“ w znaczeniu „jakby“; lub też takie bywają konstrukcje zdań: „co by nie czyniła“ (zamiast: cokolwiek by czyniła), „nie, że pragnąłem znaleźć się tam“ (zamiast: nie dlatego, iżbym pragnął) i t. p. Bardzo silny i żywy jest akcent osobisty tej prozy, tym przykrzej potykamy się niekiedy o jej węzły, supły, gruzły, uczuciowe — słowem — zahamowania. W dziedzinie tej przydałby się retusz, ostateczny szlif, który pozwoliłby nam na delektację.

I teraz narzuca się nam pytanie główne, od którego zależy los tej książki i następnych: kim jest sam obserwator? Wśród ludzi zdają się dłań istnieć tylko bezwolni lub halucynanci. Nieprzeparcie ciągnie go pogranicze fantasmagorii, jakby stan także jemu przyrodzony. Jest jak zamglone zwierciadło, które wypacza odbicie w sposób beźmiernie melancholijny i widziadlano drwiący. Jest seismografem drgań nieuchwytnych, odległych i skrytych, aparatem podśluchowym, przystawionym do szmerów obolałego serca, które bije raz szybciej raz wolniej, by nagle w skurczu ucichnąć i znów łomotać szaleństwem. Nasłuchuje nie tylko szmerów, nasłuchuje także interwałów. Ten trzeźwy i zdesperowany magik zestawia w taki sposób wykres, który jego samego przeraża, preparat straszliwie wymowny. Natężenie, brak tchu, ucisk białej gorączki, która patrzącym wraz z nim rozszerza lekkiem zwidzeń źrenice, potęguje się do widmowości odrętwienia. Wreszcie w tym bezgranicznym świecie nawiedzeń i groteskowych strachów, oblekających zmienne kształty, docieramy do zenitu, do jedynej dostępnej tu k a t h a r s i s: „zupełnie czystego doznania grozy“.

Autor bowiem skazany jest na cudzą spowiedź, nienasycone łowi wyznania, nawet je prowokuje. Przyspiesza bieg choroby, lecz nie wiadomo, czy wie o jej doniosłości i o tym, jak jest zaraźliwa. Dlatego nie bez dreszczu, zamykając tę wstrząsającą książkę, myślimy, jak dalece obserwator zaplatał się w to współuczestnictwo przez konfidencję, kim jest sam powiernik i czy udaje on życie, czy też w istocie żyje.

Stefan Napierski

Bogdan Suchodolski: *Studia nad humanizmem współczesnym.* Irving Babbitt. Instytut Literacki, Warszawa, 1936. Biblioteka „Marchotta“, Nr. 2.

Zagadnienie roli, powołania człowieka i jego stosunku do świata znalazło w dziejach myśli ludzkiej dwa zasadnicze rozwiązania: teocentryczne i antropocentryczne. Rzecznicy kierunku teocentrycznego, reprezentujący wielką religijną - metafizyczną tradycję europejskiej i pozaeuropejskiej filozofii, głoszą całkowitą i absolutną zależność człowieka od Bóstwa. Jest ono nie tylko początkiem i istotą wszech rzeczy, lecz również źródłem prawdziwego poznania, normą moralnego działania i ostatecznym celem życia ludzkiego. Psychicznym korelatem takiego stanowiska jest poczucie bezwzględnej zależności od Bóstwa - Absolutu i nostalgii za nim, tak pięknie wyrażona w słowach św. Augustyna: „Stworzyłeś nas, Panie, dla siebie i dlatego niespokojne jest nasze serce, póki nie spocznie w Tobie“ (*Wyznania*, ks. I, roz. 1).

W systemach teocentrycznych człowiek jest biernym odbiorcą łask Bożych, które spływają nań stosownie do jego zasług i cnót moralnych. Interesujący wyjątek stanowią systemy hinduskie, w których Bóstwo nie jest dane człowiekowi w objawieniu, lecz raczej mu zadane jako cel kontemplacji wewnętrznej. Musi je sam w sobie odkryć, musi się sam zbawić przez roztopienie w nim „jak sól w wodzie“. Ten humanistyczny moment hinduskiego soteriologizmu, przyznającego człowiekowi prawo inicjatywy w procesie wyzwolenia od ziemskiego zła, zbliża myśl hinduską, mimo jej wybitnego abstrakcjonizmu, do humanistycznych przejawów umysłowości europejskiej.

Prąd antropocentryczny, historycznie młodszy od teocentrycznego, stawia człowieka w ośrodku ludzkich dążeń i zainteresowań i ujmuje świat z punktu widzenia jego doczesnych celów i potrzeb. Z myślą o nich tworzy i zmienia prawdy, buduje i obala stanowiska, niczego nie absolutyzuje, wszystko podporządkowuje szczęściu i dobru człowieka. W nim widzi miarę wszech rzeczy — istniejących, że istnieją, i nie istniejących, że nie istnieją (zasada „Homo mensura“ Protagorasa), a w pełnej i swobodnej realizacji człowieczeństwa — prawdziwie boski cel ludzkiego istnienia. (Je mehr du fühlst ein Mensch zu sein, desto ähnlicher bist du den Göttern — Goethe).

Do najważniejszych przejawów antropocentryzmu na gruncie europejskim należą:

humanizmu sofistów, renesansowy i nowoczesny, reprezentujące trzy odrębne typy stanowiska humanistycznego. O humanizmie sofistów pisaliśmy już przy innej sposobności (ob. zeszyt 2 — 3, r. 1936); poprzestajemy przeto tylko na przypomnieniu, że powstał on na podłożu epistemologicznym, w związku z ich konwencjonalno - relatywistyczną teorią prawdy, ugruntowaną w świadomości subiektywnego charakteru wszelkiego poznania.

Znamienną cechą humanizmu renesansowego jest jego podstawa historyczna. Powołując się na tradycje humanistyczne świata klasycznego, walczył on o wyzwolenie człowieka z więzów dogmatyzmu i autorytetu, o autonomię ludzkiego rozumu, o prawo człowieka do człowieczeństwa. Średnowiecznemu pojmowaniu sub specie aeternitatis przeciwstawił myślenie sub specie humanitatis, rozumiejąc tę ostatnią, za Cyceionem, jako harmonijny rozwój wszystkich naturalnych założeń człowieka. W ostatecznym jednak wyniku humanizm renesansowy nie przyniósł człowiekowi wyzwolenia, zmienił tylko formę jego niewoli: wyzwoliwszy go z pęt teologicznego dogmatyzmu, zakuł go w kajdany naturalizmu. Poczęte bowiem z ducha humanizmu, monistyczno - panteistyczne koncepcje Odrodzenia pojmowały człowieka jako samodzielną cząstkę Natury, całkowicie zdeteterminowaną przez jej odwieczne prawa. Król stworzenia okazał się „narzędziem i zegarem” jej kaprysów i konieczności, mario-netką, obdarzoną świadomością. Postulat zaś autonomii rozumu przerodził się z czasem w suchy racjonalizm i bałwochwalczy kult myśli, zacieśniający pełnię ludzkiej duchowości do ciasnego zakresu intelektualnych operacji.

Przeciwko tym wypaczeniom humanizmu renesansowego wystąpił humanizm nowoczesny angielskich i amerykańskich pragmatystów, Schillera, Jamesa, Peirce'a, Deweya i innych. Nawiazuja oni do praktycyzmu sofistów i, wychodząc z założeń biologicznych, uważają wszelką wiedzę i myślenie za narzędzie walki o byt. Prawda jest dla nich, jak to trafnie określił Bergson, nie odkryciem, lecz wynalazkiem, instrumentem usprawniającym ludzkie działanie. W swej głównej dążności do zdynamizowania człowieka i osiągnięcia dla niego maximum korzyści i pożytku, odrzucają oni wszystkie te koncepcje, które działają hamująco na jego energię i inicjatywę i dlatego są przeciwnikami monizmu, determinizmu i intelektualizmu. Negatywny stosunek do tych stanowisk łączy humanizm amerykańskiego filozofa

Babbitta z pragmatystami. Jest to jednak związek zupełnie luźny, gdyż Babbitt wychodzi z odmiennych założeń, tworząc odrębny typ stanowiska humanistycznego.

Przystępując do omówienia humanizmu amerykańskiego myśliciela, na podstawie przejrzystej i syntetycznej relacji doc. Sucho-dolskiego, chcemy już na wstępie zaznaczyć, że jest on na gruncie amerykańskim zjawiskiem dość niespodziewanym i niezwykłym. Jego najistotniejszą, wybitnie nieamerykańską cechą, jest nastawienie *intro-wersyjne i moralistyczne*, przy-wodzące na pamięć słowa **Upaniszadów**: „Stwórca na zewnątrz wyłobił otwory, którymi ludzie patrzą przed siebie, zamiast w siebie”. W tym też kontemplacyjnym nastawieniu doszukiwać się należy źródeł zainteresowania i sympatii Babbitta dla mądrości Wschodu, w szczególności zaś dla buddyzmu. Humanistyczny aspekt soteriologizmu hinduskiego, o którym wyżej mówiliśmy, buddyjska bezwzruszeniowość, wykluczająca krańcowe stany uniesienia, godziły się z jego podstawowym założeniem, w myśl którego najważniejszym celem człowieka jest wewnętrzna doskonałość i harmonia, uwarunkowane bezwzględny posłuszeństwem zasadzie umiaru, dyscypliny i powściągu. Swoim poprzednikiem zarzuca Babbitt zbytne skierowanie uwagi na zewnątrz, ekspansywnizm uczuć i działań, rozbijających wewnętrznie jednostkę i prowadzących do zaniedbania najważniejszego, jego zdaniem, humanistycznego postulatu wewnętrznej uprawy ducha. Swe stanowisko przeciwstawia humanitarystom, którzy chcą automatycznie i bez wyboru wyzwoić ludzką, nie troszcząc się o odrodzenie duchowe jednostki. Zdobycie własnego duchowego kształtu zależne jest, według amerykańskiego filozofa, od zwycięstwa woli wyższej nad jaźnią naturalną, przejawiającą się głównie w trzech żądach: wiedzy, rozkoszy i panowania (libido sciendi, sentiendi, dominandi). Ten dualizm osobowości nadaje jego doktrynie zabarwienie *erygorystyczno - ascetyczne*, nie zgodne z jej humanistycznym punktem wyjścia.

Zewnętrznym wyrazem osiągniętej wewnętrznej doskonałości jest moralne działanie, wieńczące szczęście człowieka i realizujące w całej pełni jego wysublimowane człowieczeństwo. Krytycy Babbitta zwracają słuszną uwagę, że jego program etyczny nie posiada żadnej realnej wartości. Hipochondryczna nieledwie obawa przed uchybieniem rygorystycznie pojętej zasadzie umiaru i powściągu, ciągła samokontrola i autoanaliza oddzielają człowieka od życia przepełnia me-

dytacji, a dążenie do upragnionego ideału staje się, jakby to powiedział poeta, upiornym myśleniem myślenia.

Wydaje nam się, iż w ukształtowaniu się doktryny humanistycznej Babbitta odegrały pewną rolę, obok wpływów Wschodu, także wpływy stoickie. Ze stoicyzmem dzieli ona antynomię wewnętrznego rygoryzmu i postulatów konkretnego działania. W swojej krytyce humanizmu Babbitta podkreśla autor, że rygoryzm amerykańskiego myśliciela nie idzie w parze z konkretnymi wskazaniami realizacji stawianych ludziom wymagań, że „nie udało mu się zbudować mostu, łączącego świadomość powinności ze zdolnością do wypełnień”. Apoteozowana zaś przez niego mądrość wieków nie może współczesnemu człowiekowi zastąpić żywej prawdy entuzjazmu i miłości, która jedna człowieka z bytem i przezwyciężają trągim wszelkiego dualizmu.

Rozprawa doc. Suchodolskiego jest pierwszą z cyklu na temat współczesnego humanizmu. Informuje ona dokładnie i przejrzyście o jednym z głównych prądów współczesnej umysłowości, ukazuje jego blaski i cienie, sprzeczności i trudności. Było by niepowetowaną szkodą dla polskiego czytelnika, gdyby autor nie zrealizował w całej rozciągłości swego niezwykle interesującego i pożytecznego zamierzenia. Na marginesie rozprawy Suchodolskiego podjęliśmy zagadnienie typologii stanowisk humanistycznych. Na podstawie poczynionych przez nas uwag, odróżniamy cztery następujące typy humanizmu: 1) humanizm na podłożu epistemologicznym (sofisci, Kant), 2) na podłożu historycznym (renesansowy), 3) pragmatystyczno-biologiczny (amerykański), 4) kontemplacyjny - moralistyczny (hinduski i Babbitta).

J. Bleiberg

Pamiętniki chłopów. Seria druga. Przedmowy **L. Krzywickiego** i **Marii Dąbrowskiej**. Instytut Gospodarstwa Społecznego, Warszawa, 1936.

Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie opublikował drugą serię **Pamiętników chłopów**. Jest to więc trzeci z kolei tom życiorysów własnych, ogłoszony przez Instytut Gospodarstwa Społecznego. Na tom pierwszy złożyły się pamiętniki bezrobotnych, dwa drugie zostały poświęcone wsi.

Życiorysy własne, zawarte w drugiej serii pamiętników, różnią się znacznie od życiorysów serii pierwszej. W olbrzymim, blisko 900 stronnic liczącym tomie znajdujemy dziesięć prac; niektóre z nich są bardzo

znacznych rozmiarów: jest jedna, która liczy 260 stronnic. Tak obszernych życiorysów w pierwszej serii nie znajdowaliśmy. Ale istotniejsze są inne różnice.

Autorowie serii drugiej — to przeważnie ludzie ze wsi i rolnictwem nie całkowicie związani, których tylko w pewnej, choć może znacznej mierze mamy prawo uważać za chłopów. Jest wśród nich jeden, z pochodzenia mieszczanin i rzemieślnik, który dopiero z czasem osiadł na roli. Prawie wszyscy przez dłuższy czas uprawiali zajęcia nierolnicze, czy też łączą rolnictwo z rzemiosłem, handlem i innymi zatrudnieniami. Są to ludzie bywali, niektórzy o bardzo bogatych perypetiach życiowych.

Są tu światowcy, emigranci do Ameryki, uchodźcy wojenni do Rosji, ludzie, którzy zwędrowali kawał świata i z niejednego pieca chleb jedli. W środowiskach swoich odgrywają oni rolę poważną, nawet przodowniczą. Na większą lub mniejszą skalę, są to działacze — niekiedy rzutcy i przedsiębiorcy.

Innymi słowy: druga seria **Pamiętników** pokazuje nam ludzi w pewnym znaczeniu nie przeciętnych, którzy zapewne dość znacznie odbiegają od ogólnego poziomu masy włościańskiej. Życiorysy pisane są płynnie, przeważnie językiem literackim lub też noszącym wyraźne ślady obznajmienia z językiem literackim.

Nie możemy w tej chwili wchodzić w szczegółową analizę tych pamiętników; zatrzymamy się jedynie nad ich znaczeniem naukowym i społecznym. Na czym polega sens naukowy podobnych publikacji?

Nauki społeczne, a wśród nich w pierwszym rzędzie socjologia, są dziś w okresie głębokich przemian, które odnoszą się głównie do punktów wyjściowych i metod.

Minęły czasy ogólnych spekulacji, budowania wielkich uniwersalnych systemów, w których roztrząsane były takie zagadnienia, jak n. p. co to jest społeczeństwo, na czym polega istota rozwoju społecznego, jakie są prawa tego rozwoju. Uczeń dzisiejsi doszli do przekonania, że nauka, która bada różnorodne zjawiska życia społecznego, musi przede wszystkim oprzeć się na gruntownym poznaniu tych zjawisk, musi osiąść pełny obraz rzeczywistości społecznej, którą się zajmuje. Za swe naczelne zadanie postawiły sobie nauki społeczne zbieranie materiałów, które by w sposób jak najbardziej bezpośredni mówiły o faktach życia społecznego. Ale na owo życie składają się ludzie działający, myślący, reagujący uczuciowo, w jakiś sposób zachowujący się. Poglądy tych ludzi.

ich uczucia, pragnienia i oczekiwania mają decydujące znaczenie dla ich postępowań, a więc przez to i dla całego przebiegu życia zbiorowego.

Zdajemy sobie dziś sprawę, że nie mniej — szą rolę, niż wielkie postaci historyczne, odgrywają milionowe rzesze ludzi małych, bezimiennych, z ich ubogimi ideami i małymi sprawami. Bez wątpienia, poglądy tych bezimiennych ludzi w nikłej tylko mierze są czymś swoistym czy oryginalnym. A raczej przeciwnie — wypowiadają się w nich przeświadczenia, podzielane przez rozległe grupy społeczne, do których owi bezimienni należą. Opinie na tematy spraw politycznych, gospodarczych, religijnych, moralnych, ogólnokulturalnych są odbiciami przeświadczeń, panujących w wielkich zbiorowiskach ludzkich danego czasu i miejsca. Stąd mamy wszelkie szanse, że poglądy, wypowiadane przez tych bezimiennych autorów, dadzą nam podstawy dla stworzenia sobie obrazu rozległych zbiorowisk społecznych.

To samo da się powiedzieć o losach życiowych naszych autorów. Bez wątpienia, czynnik odrębności indywidualnej odgrywa tu większą rolę, niż w zastosowaniu do jakichś ogólnych poglądów czy przekonań. Lecz w zasadniczych etapach koleje życiowe owego emigranta do Ameryki, owego uchodźcy do Rosji, owego sklepikarza czy przedsiębiorcy wsiowego są charakterystyczne dla wielu emigrantów, uchodźców, sklepikarzy czy przedsiębiorców. Najważniejsze jednak jest to, że możemy poznawać, jak koleje losu, perypetie życiowe wpływały na kształtowanie się osobowości autorów, i znajdować tu podstawę dla wyciągania wniosków bardziej ogólnych. W ten sposób występują zagadnienia — n. p. zagadnienie wpływu pobytu za oceanem na ukształtowanie się pewnych cech psychicznych i społecznych ogółu wychodźstwa amerykańskiego.

Żeby jednak takie wnioski móc wyciągnąć, trzeba rozporządzać materiałem możliwie bogatym. Nie wystarczy tu wspomnienia jednego człowieka, choćby nawet bardzo szczegółowe. Im więcej mamy takich wspomnień, tym łatwiej możemy ustalić pewien obraz przeciętny, tym więcej mamy danych, że elementy wszystkim im wspólne są charakterystyczne i dla rozleglejszych kategorii ludzkich. Dlatego też instytucje naukowe starają się gromadzić materiały możliwie jak najobszerniejsze.

Życiorys własny — to cenny dokument naukowy. U nas też dziwnego, że instytucje naukowe u nas i za granicą starają się na różnych drogach zebrać jak najwięcej po-

dobnych materiałów, pisanych przez ludzi bezimiennych, aby w ten sposób osiągnąć podstawę dla wyciągania ogólniejszych wniosków naukowych. U nas w Polsce pierwszy rozpoczął taką akcję planową Polski Instytut Socjologiczny w Poznaniu, który zebrał pokazań ilość wspomnień robotników. Wśród nich znalazły się głośnie w swoim czasie wspomnienia Jakuba Wojciechowskiego.

Z życiorysów jednak trzeba umieć korzystać. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że żaden pamiętnik, zwłaszcza pisany w celach publikacyjnych, nigdy nie jest dokładnym odtworzeniem rzeczywistości. Czy to będą pamiętniki Bismarcka, czy Wojciechowskiego, czy Bilińskiego, czy naszych pamiętnikarzy chłopskich, — zawsze wystąpi moment niedokładności i nieszczerości. Zawodzi pamięć, działają różnorodne otamowania, występuje świadoma chęć wysunięcia pewnych wydarzeń czy cech, a pominięcia innych.

Do tego w pamiętnikach ludzi bezimiennych dochodzi jeszcze jedna specjalna okoliczność: olbrzymia ich większość powstała nie z wewnętrznej potrzeby, ale z inicjatywy instytucji badawczej, która zachęciła do pisanja; zachęta miała postać nagrody pieniężnej. Ogłoszono konkurs na najlepszy pamiętnik; innego sposobu nie było. Ta perspektywa nagrody pieniężnej musiała odbić się na pisaniu. Świadomie czy nieświadomie, autorowie starali się przystosowywać treść swych wywodów do tego, co przypuszczali, że spodoba się sądowi konkursowemu. Stąd pewne rzyszczerości.

Jednakże nieściśności te i nieszczerości nie naruszają wartości naukowej pamiętników. Przecież nie chodzi w nich o ścisłość historyczną. Nie są to źródła dziejowe — są to jedynie i wyłącznie dokumenty i materiały socjologiczne, które pokazują nam, jaki jest stosunek ludzi, jako przedstawicieli szerszych grup społecznych, do otaczającej ich rzeczywistości, jak myślą ci ludzie, pod wpływem czego kształtują się ich przekonania i jak wpływają one na ich działalność. Oczywiście, poglądy te mogą być naiwne i fałszywe. Ale to nie zmienia sprawy, że właśnie takie naiwne i fałszywe poglądy mogą być najbardziej charakterystyczne dla całych zbiorowości ludzkich i że takie poglądy potężnie wpływają na układanie się stosunków międzyludzkich.

Ale poza stroną naukową **Pamiętniki** mają swoje znaczenie czysto praktyczne, życiowe. Pokazując fragmenty rzeczywistości, przemawiającej w sposób jak najbardziej bezpośredni, stają się one jakby sygnałami, które mówią nam o tym, co się dzieje w owych bez-

imiennych zbiorowiskach ludzkich. Stąd ogromne ich znaczenie dla działalności praktycznej, dla polityki, zwłaszcza dla polityki społecznej, która otrzymuje w ten sposób możliwość znalezienia dla siebie mocniejszego oparcia. A wreszcie poza człowiekiem nauki czy praktycznym działaczem, każdy, kto żywo reaguje na prawdę autentycznego życia, znajduje w tych pamiętnikach pasjonującą lekturę. Przecież niektóre z nich czyta się po prostu jak powieść.

I dlatego też warto jest sięgać do wspania-

łej publikacji Instytutu Gospodarstwa Społecznego, warto z niej korzystać. Znakomitą ułatwieniem będzie kapitalna przedmowa Marii Dąbrowskiej. Świetna pisarka dała w zwartym ujęciu obraz tych zagadnień, które wysunąć się dadzą na podstawie pamiętników. Jasność myślenia, wnikliwość w wyciąganiu wniosków cechują przedmowę Dąbrowskiej. Swymi **Pamiętnikami** Instytut Gospodarstwa Społecznego dobrze się przysłużył nauce i kulturze.

A. H.

HENRYK BALK

ROZMOWY Z NOCĄ

POEZJE

WYDAWNICTWO „DROGA” 1936

Druk numeru ukończono dn. 3 grudnia 1936 r.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Chmielna 33 m. 5.

Tel. 2.75-34. Konto P. K. O. 518.

Godziny urzędowe Redakcji od 11 — 15.

Godziny urzędowe Administracji od 9 — 15.

Prenumerata: rocznie zł. 20.—, półrocznie zł. 10.—, kwartalnie zł. 5.—.

Zagraniczna kwartalna zł. 6,50.

Cena numeru pojedynczego zł. 2.—, podwójnego zł. 3.—.

Redaktor: WILAM HORZYCA

Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW PODWYSOCKI

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80

1-10

1.200

81023

26.7.86

